

Pieśń łowców

Wolfe Gene



calibre 0.9.43

Gene Wolfe

Pieśń łowców

(Tracking Song)

przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Gene Wolfe (ur.1931) początki kariery pisarskiej miał trudne. Publikował od roku 1967, głównie w antologiach „Orbit” Damona Knighta uchodząc za eksperymentatora poruszającego się na obrzeżach SF. Szerszą

popularność zdobył psychologicznymi opowiadaniem, które wprawdzie nie tworzą cyklu, ale ich tytuły składają

się z tych samych słów (The Island of Doctor Death – 1970, The Death of Doctor Island – 1973, The Doctor of

Death Island – 1978). Pierwsze z nich zdobyło największą liczbę, głosów w roku, w którym Nebuli nie przyznano,

drugie ją wreszcie zdobyło. Potem przyszedł wielki sukces cyklu „Księgi Nowego Słońca”, pozostającego

fundamentem dorobku Wolfe'a, ostatnio zaś wiele się. pisze o jego nowej powieści „Live Free Live!” (Mieszkanie

za darmo!), w której po tytułowym ogłoszeniu w prasie w przeznaczonym do rozbiórki domu zbiera się grupa

niesamowitych lokatorów. Jak zwykle u Wolfe'a rzecz nie poddaje się. łatwej klasyfikacji, zawiera bowiem

elementy powieści gotyckiej, czarnego kryminału, fantazji.

Tym razem przedstawiamy jedną z mikropowieści Wolfe'a – dobry przykład jego poetyckiej, niesamowitej

i nastrojowej fantastyki.

1

Siedem już zim minęło, odkąd padła Troja,

A my wciąż płyniemy pod obcymi gwiazdami;

Wyglądając umykającego przed nami brzegu Italii.

Wergiliusz

Odkryłem, że to małe urządzenie zapamiętuje moje słowa, a potem, dzięki mechanizmowi, którego nie

rozumiem, powtarza je. Niedawno postanowiłem sprawdzić, jak wiele może zapamiętać. Mówiłem przez dłuższy

czas, ale powtórzyło wszystko. Teraz wykasowałem to – jest do tego specjalny guzik – i zacząłem jeszcze raz.

Chcę zostawić informację o tym, co mi się przydarzyło, tak, żeby ktoś, kto przyjdzie i znajdzie mnie martwego,

wszystko zrozumiał. Czuje, że ktoś przyjdzie, chociaż nie wiem dlaczego. Chciałbym, żeby wiedział.

Nie wiem, jak się nazywam. Ludzie, wśród których się znajduję i którzy, jak dotąd, byli dla mnie dobrzy,

nazywają mnie Poderżnięte Gardło. To dlatego, że mam znamię biegnące czerwonobrazową pręgą od jednego

ucha do drugiego.

Każdy dzień będzie miał swój numer. **Ten dzień jest pierwszy.**

Ci ludzie są wyżsi ode mnie – mężczyznom sięgam zaledwie do ramienia. Mówią, że znaleźli mnie w śniegu godzinę po przejściu Wielkich Sań, ale co to takiego są te Wielkie Sanie, nie mogę się dowiedzieć. Z

początku sądziłem, że nazywają tak jakieś zjawisko natury – na przykład burze śnieżną – ale oni powtarzają, że

widzieli to po raz pierwszy w życiu i że z początku nawet się przed tym schowali.

Zanieśli mnie do swego obozu. Kiedy odzyskałem już trochę siły odkryłem, że słabo, bo słabo, ale mówię

ich językiem. Ubierają się w futra, a ich chaty wykonane są ze skór zwierzęcych rozpiętych na szkieletach z

młodych drzewek, a potem obsypanych śniegiem. Na dworze wiatr wieje coraz mocniej, usypując wokół chat

zaspasy. Leże na posłaniu z futer; jedyne, mocno przyćmione światło pochodzi z podwieszono do sufitu na

surowym rzemieniu, fosforyzującego grzyba.

Drugi dzień. Obudziła mnie jedna z kobiet, przynosząc kamienną miseczkę z czymś w rodzaju zupy, co

chyba miało również spełnić rolę lekarstwa. Spytałem ją, czy tak jest w istocie, a ona odpowiedziała, że

przyrządzają to gotując młode gałązki pewnego gatunku drzewa. „Zupa” była cieniutka i trochę zbyt ostro

przyprawiona jak na mój smak, ale poczułem się po niej znacznie silniejszy. Wstałem i wyszedłem na zewnątrz, a

kobieta pokazała mi małe, osłonięte miejsce jakieś sto metrów od obozu – tam mężczyźni i załatwiają swoje

potrzeby.

Kiedy wróciłem, mężczyźni już nie było. Poszli na polowanie, wyjaśniły kobiety. Powiedziałem im, że też

chciałem pójść, bo nie chce żyć na ich koszt i z pewnością potrafiłbym zdobyć więcej mięsa, niż zjadam.

Roześmiały się słysząc to i powiedziały, że jestem jeszcze zbyt młody i mały, żeby polować z mężczyznami. Nie

mówiły tego, żeby mi zrobić przykrość, tylko w życzliwy, trochę kpiarski sposób stwierdzały po prostu fakt, toteż

przez chwilę czułem się, jakbym był na jakimś przyjęciu (choć żadnego przyjęcia, czy w ogóle czegokolwiek

poza ostatnią nocą nie pamiętam, pomimo że dął wiatr, sypał śnieg i było bardzo zimno. Śmiały się także z mojego

kombinezonu, który różni się bardzo od ich futrzanych strojów.

Potem powiedziały, że teraz idą zbierać żywność, a ja na to odparłem, że im pomogę. Bardzo je to

rozbawiło i ułożyły nawet coś w rodzaju pieśni, jak to będę deptał różne jadalne rośliny i jeszcze przed południem

nie będę mógł rozprostować grzbietu. Jednak kiedy już nacieszyły się do woli, Czerwona Kluy, która, jak mi się

zdaje, jest matką wodza i tym samym najważniejszą kobietą w plemienu, weszła do jednej z chat i pojawiła się po

chwili z bronią, mówiąc, że będę pilnował, by nic na mnie nie napadło i że mam starać się zabić każde zwierze,

jakie udałoby mi się dostrzec.

Mam tę broń do dzisiaj. Składa się z drewnianej ramy, trzech płaskich, sprężystych kawałków kości (a

może rogu) i rzemiennej cięciwy. Można nią miotać kamienie albo kawałki lodu, ale właściwym pociskiem jest

wygięta w specjalny sposób, pogrubiona / obydwu stron pałka z bardzo ciężkiego drewna, czasem dodatkowo

nabita kawałkami kości lub ostrymi odłamkami skał.

Przebyliśmy około trzech kilometrów, cały czas brnąc w śniegu, który na najłatwiejszych odcinkach sięgał

nam niemal do kolan. Szliśmy jedno za drugim, zmieniając się na prowadzeniu. Kobiety poobwijają sobie stopy

mocowanymi za pomocą rzemieni skórami, ja natomiast mam ciepłe, nie przepuszczające wilgoci buty z jakiegoś

czarnego tworzywa. Wielokrotnie przechodziliśmy tuż koło drzew, bowiem Czerwona Kluy starała się, wtedy,

gdy było to możliwe, wybierać drogę mniej zasypaną śniegiem, a to najczęściej oznaczało zawietrzną stronę lasu.

Czy mogę powiedzieć, że drzewa stanowiły dla mnie pierwszą niespodziankę? Przedtem, zanim je

ujrzałem, nic nie było w stanie mnie zdziwić, bowiem byłem zbyt jeszcze otępiąły po tym, jak nic nie pamiętając

ze swojej przeszłości, niespodziewanie znalazłem się wśród tych ludzi. Choć nie mogę sobie niczego

przypomnieć, to wydaje mi się, że gdzieś w podświadomości mam zakodowane mgliste pojecie, dotyczące

posługiwania się pewnymi przedmiotami i wyglądu niektórych rzeczy, znanych mi z nazwy, chociaż nigdy

przedtem, jak mi się wydaje, nie widzianych.

2

Nie wiem jak powinny wyglądać drzewa i trudno mi dokładnie określić, co akurat w tych mi się nie podobało. Są zielone lub zielonobrazowe i zwykle mają pojedynczy pień, chociaż są i takie o podwójnych lub

potrójnych, albo o wielu pniach, łączących się w górze w jeden. U góry są gałęzie - proste, krzywe, powyginane -

zależnie od gatunku. Czasem (im grubsza gałąź, tym dalej sięga) łączą się ponownie, by znowu się rozdzielić i

wypuścić młode zielone pędy. Niektóre drzewa pokryte są rosnącymi pojedynczo lub w rozetkach liśćmi, inne nie

mają ich wcale. Są giętkie, chylące się pod ciężarem śniegu, a potem, gdy zsunie się niepożądany balast,

prostujące się raptownie, a są i sztywne, stojące bez najmniejszego drgnienia.

Dotarliśmy wreszcie do celu wędrówki - łagodnego, nachylonego ku południowi stoku, tu i ówdzie nakrapianego sporych rozmiarów kamieniami. W wielu miejscach śnieg miał tutaj zaledwie kilka centymetrów

głębokości. Kobiety rozproszyły się, odgarniając go na bok i zrywając niewielkie, wolno rosnące roślinki, którym

te trudne warunki bytowania zdawały się doskonale służyć. Początkowo starałem się im pomóc, ale nie miałem

pojęcia, które gatunki są jadalne, a poza tym nie miałem żadnej torby. Cały czas Sie ze mnie śmiały, więc, w końcu

dałem sobie spokój ze zbieractwem i w zamian za to zająłem się nauką strzelania z miotającej pałki kuszy.

Była to bardzo interesująca broń, a poza tym - jak się przekonałem - nie wymagająca wielkich

umiejętności, jako że sprężyny odgięte są już zawczasu, a wystrzelona pałka dzięki swemu ruchowi wirowemu

może trafić w cel nawet nie znajdujący się dokładnie na linii jej lotu. Czerwona Kluy pokazała mi jak należy

umieścić kamień na cięciwie i z początku ćwiczyłem przy ich użyciu. Potem przypomniałem sobie, że oprócz tego

nagrywającego urządzenia mam w kieszeni składany nóż (oraz zapalniczkę i kilka innych rzeczy), toteż

przerzuciłem się na własnoręcznie wystruganą pałkę. Szkoda mi było tych pięknie wygładzonych i pokrytych

tajemniczymi wzorami, które miałem w kołczanie. Kamienne i kościane szpikulce z pewnością by się połamały).

Nic ciekawego się nie wydarzyło aż do chwili, kiedy słońce wisiało niemal dokładnie nad naszymi

głowami. Wtedy to rozległy się przeszywające krzyki, dochodzące, zdaje się, spomiędzy drzew rosnących u

podnóża zbocza. Kobiety w jednej chwili przerwały zbieranie i stanęły bez ruchu niczym pnie drzew, spoglądając

w kierunku, z którego rozlegał się hałas. Tak się akurat złożyło, że moja kusza przygotowana była do oddania

próbnego strzału wystruganą przeze mnie pałką. Zamarłem, z bronią wycelowaną przed siebie.

Krzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, aż wreszcie zza zasłony drzew wybiegła smukła postać. Z początku

odniosłem wrażenie, że to dziewczyna. Potem, kiedy zaczęła biec w naszą stronę, używając zarówno tylnych, jak

i przednich kończyn, że to zwierze.. Kiedy wreszcie usłyszałem z bliska wysoki, przeraźliwy głos i ujrzałem długą

szyję oraz ostrą, wysuniętą do przodu dolną CZĘŚĆ twarzy, pomyślałem, że to ptak. Kobiety stały jak wmurowane aż do chwili, kiedy niezwykła postać dostrzegła je, zawróciła i rzuciła się do ucieczki.

Wtedy dopiero ożyły i wrzeszcząc oraz ciskając kamieniami puściły się w szaleńczą pogoń. Byłem

zdmumiony, jak szybko poruszały się nawet najstarsze z nich. Czerwona Kluy krzyknęła, żebym strzelał i po chwili

wahania - postać wciąż zadziwiająco przypominała mi człowieka - strzeliłem. Niestety, kusza

załadowana była

tylko lekką pałką mojej własnej roboty. Uciekinier, trafiony w okolice pasa, zatoczył się, ale nie upadł.

Najszybciej, jak potrafiłem, wyciągnąłem z kołczanu ciężką, porządną pałkę i pobiegłem za kobietami.

Powiedziałem, że pobiegłem, lecz bardziej zgodne z prawdą byłoby stwierdzenie, że popędziłem ogromnymi skokami. Chciałem tylko biec, ale każdy krok zamieniał się w pięciometrowej długości sus i w czasie

nie dłuższym niż kilka uderzeń serca przebyłem kilkusetmetrową odległość. Jednocześnie doświadczyłem

drugiego zaskoczenia: zarówno kobiety, jak i ścigana przez nas ofiara biegly nie zapadając się. w ogóle w śnieg,

nawet tam, gdzie miał on z pewnością ponad metr głębokości.

Kiedy znalazłem się już tak blisko, że niemal nie można było nie trafić, przystanąłem na sporym kamieniu

i strzeliłem, tym razem już ciężką, najeżoną kolcami pałką. Celowałem w głowę, ale źle obliczyłem kąt i pałka

trafiła ją w kolana, łamiąc jej obydwie nogi. „Jej”, gdyż teraz nie mogłem już mieć wątpliwości, że była to kobieta.

Ledwo jej ciało zdążyło dotknąć śniegu, a już dopadła ją Czerwona Kluy i reszta. Widziałem, jak umierając

zwraca do słońca piękną i delikatną, choć bardzo dziwną twarz, po czym jej oczy straciły swój blask i odwróciły

się, pokazując białka. Czerwona Kluy przecięła jej tętnicę szyjną i wraz ze szkarłatną zamarzającą niemal

natychmiast krwią uciekło z niej życie.

- Kto to? - zapytałem, zeskakując z głazu.

- Lenizee. Łania Lenizee. Jeszcze młoda.

Jedna z kobiet, Błyszcząca Aa, pomacała pośladki dziewczyny.

- Mężczyźni pewnie nie przyniosą nic tak dobrego. Szybko uciekała... Mięso ma tak delikatne, że chyba

będzie spadać z rusztu.

- Macie zamiar ją zjeść?

- Po tym, jak ty wybierzesz jakąś cześć dla siebie, oczywiście - odpowiedziała, opacznie zrozumiawszy

moje pytanie.

- Tak - potwierdziła Czerwona Kluy. - To Poderżnięte Gardło ją zabił.

- Jesteśmy wyprawą myśliwską! -zawołała jedna z kobiet.

Czerwona Kluy dotknęła dłonią brody. Ten gest, jak zdążyłem się już zorientować, oznaczał „tak”. W tej

samej chwili tam, skąd wybiegła przed kilkoma chwilami dziewczyna, rozległ się potężny ryk. Na skraju lasu

stała kobieta, tak wysoka i tak potężnie zbudowana, że można ją było śmiało uznać za olbrzymkę i krzyczała coś,

3

czego nie mogłem zrozumieć. Kobiety natychmiast jej odpowiedziały, wymachując kamieniami, którymi ciskały

za uciekającą dziewczyną. Olbrzymka chodziła nerwowo między drzewami, nie przestając krzyczeć głosem

znacznie głębszym i potężniejszym, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć u mężczyzny. Miała niezwykle

bujne, sięgające niemal do pasa włosy o kolorze pakuł oraz kwadratową, silną twarz, wystarczająco szlachetną i

brutalną zarazem, by jej posiadaczka mogła być jakąś królową barbarzyńców. Usiłowałem dowiedzieć się od

kobiet, kto to jest, ale robiły tyle hałasu, że nie mogłem ich przekrzyczeć, toteż wreszcie zająłem się wyszukaniem

i załadowaniem do kuszy największej i najgroźniej wyglądającej pałki, na wypadek, gdyby olbrzymka miała

zamiar się, zbliżyć.

Nie miała. Po mniej więcej godzinie bezustannych krzyków odwróciła się i zniknęła między drzewami,

pozwalając kobietom zanieść w tryumfalnym pochodzie ciało dziewczyny do obozu. W drodze powrotnej

zapytałem Czerwoną Kluy, kim była ta olbrzymka.

- Ketincha - odpowiedziała.

- Ale kto to jest?

- Po prostu Ketincha, widziałeś ją przecież. Mieliśmy szczęście, że nie było z nią jej męża.

- Gdzie oni mieszkają?

- W lesie, blisko małego wodospadu. Wiesz, gdzie to jest?

Przyznałem, że nie po czym zapytałem, czy to liczne plemię.

- To nie plemię - roześmiała się Czerwona Kluy. - W okolicy jest za mało mięsa - trzeba ci było zobaczyć

Ketina. Był jeszcze ich syn, ale gdzieś sobie poszedł.

Robiło mi się niedobrze na myśl, że miałbym jeść mięso dziewczyny, mimo iż tak mało przypominała człowieka. Kiedy jednak wrócili mężczyźni (tak się złożyło, że właściwie z pustymi rękoma), okazało się, że

odmawiając przyjęcia pożywienia spowodowałbym poważny kryzys społeczny. Nie pozostawało mi więc nic

innego, jak przyjąć spory kawał delikatnego mięsa i przełknąć go z tak dobrą miną, jak to tylko było możliwe.

Byłem zresztą bardzo głodny, a mięso, tak miękkie (jak przepowiedziała to Błyszcząca Aa), że niemal rozpadało

się w ustach, pozbawione było właściwie smaku. (Może dlatego, że ci ludzie nie używają soli i nie uznają

przyprawionego mięsa). Na posiłek, oprócz łani Lenizee, składał się jeszcze jakiś drobny zwierzak, upolowany

przez myśliwych (mięso miało nieco twardsze, ale chyba smaczniejsze) oraz zioła i korzenie, które zbierały

kobiety.

Kiedy tak siedzieliśmy przy ognisku zauważyłem, że mężczyźni przyglądają mi się jakoś dziwnie, ale

dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, dlaczego. Zaczęła mi rosnać broda, a oni, oprócz rzadkiego

meszku na górnej wardze, nie mieli żadnego zarostu. Kiedy zrozumiałem, co jest nie tak, przeprosiłem i

poszedłem do wskazanej mi rano „łazienki”. Wśród przedmiotów, jakie znalazłem w kieszeniach była też golarka,

toteż użyłem jej, a kiedy byłem już pewien, że moja twarz jest zupełnie gładka, wróciłem do ogniska. Niektórzy

zdawali się być zaskoczeni zmianą w moim wyglądzie, ale chyba szybko uznali, że to, co widzieli wcześniej, było

po prostu cieniem rzucanym przez pełgający płomień. Taką mam w każdym bądź razie nadzieję.

Trzeci dzień. Nie wiem czy powinienem najpierw opowiedzieć o tym, co najważniejsze, czy po prostu

zdać relacje z wydarzeń w takiej kolejności, w jakiej następowały? Zastanawiałem się nad tym, zanim włączyłem

to urządzenie i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie zacząć od streszczenia tego, co, jak mi się wydaje, było

najistotniejsze. Spróbowałem, ale natychmiast wpadłem w pułapkę nie kończących się wyjaśnień,

wyprzedzających relacje o wypadkach, do których miały się odnosić.

Dzisiaj poszedłem z mężczyznami na polowanie. Czerwona Kluy naopowiadała im, jak szybko potrafię

biegać i że bez wysiłku naciągam kusze jej syna, toteż odnosili się do mnie nieufnie i nawet z odrobiną wrogości.

Sposób, w jaki polują, nie wymaga żadnych wielkich umiejętności. Przez pół dnia, czy nawet trochę

więcej, przedzieraliśmy się przez las, nie natrafiając po drodze na nic lepszego niż kilka małych zwierzątek,

takich, jakie jadłem wczorajszego wieczoru. Mają długie puszyste ogony, przypominają trochę małpy i są

niezwykle zwinne. Jest ich kilka rodzajów, ale przynajmniej dla mnie są tak do siebie podobne z wyglądu i

zachowania, że tylko z wielkim trudem można je odróżnić. Mężczyźni strzelali do nich przy każdej okazji,

używając gładkich, pozbawionych kolców pałek; uбитą zwierzynę zakopywali w śniegu, zaznaczając miejsce

odpowiednio splecionymi gałązkami.

Po czterech czy pięciu godzinach wędrówki trafiliśmy na trop, który z całą pewnością należał do

potężnych rozmiarów człowieka, poruszającego się olbrzymimi krokami. Przypomniałem sobie, co Czerwona

Kluy mówiła mi o Ketinie, mężu Ketinchy – nie był to ktoś, kogo pragnąłbym spotkać w środku zasypanego

śniegiem lasu. Mężczyźni jednak zdawali się mieć na ten temat wręcz przeciwne zdanie, bowiem od razu

zaintonowali tajemniczą, to wznoszącą się, to znów opadającą pieśń i ruszyli przed siebie szybkim truchtem, który

pozwaliał im utrzymać się na powierzchni kopnego śniegu. Po kilku próbach, kiedy to biegłem albo za szybko,

albo za wolno, udało mi się w pełni opanować tę nową dla mnie umiejętność. (Z racji mego niskiego wzrostu było

mi chyba nawet łatwiej niż im). Ich przywódca, syn Czerwonej Kluy zwany Długim Nożem, widząc, że z

początku miałem pewne kłopoty, powiedział mi, że zwykle biega się znacznie łatwiej i że dzisiaj śnieg jest

wyjątkowo nieprzyjemny. Zapytałem, czy to dlatego, że jest głębszy, niż zazwyczaj.

4

- Nie - odparł. - Często jest nawet jeszcze głębszy. Ale kiedy poleży kilka dni, a nie ma nowych opadów,

zamarza z wierzchu jak tafla jeziora. Wtedy po prostu się po nim chodzi i o wiele łatwiej jest polować. Czasem,

kiedy spadnie go bardzo dużo, w ogóle nie można się poruszać; siedzimy wtedy w obozie i czekamy, aż

stwardnieje.

Wiatr przybrał na sile i zaczął formować nowe zaspę. Zapytałem, czy to nie utrudni nam drogi.

- Nie, bo nie jest taki sypki. Gorzej z wiatrem, będzie się źle strzelać.

- Wiec koniec z małpkami?

Roześmiał się.

- No pewnie, tropimy przecież Nashhwonka. To dobrze, że jest taki duży – podejdziemy blisko i będziemy

strzelać z wiatrem. Nie powinniśmy chybić.

Wiatr był tak zimny, że z każdym oddechem zdawało mi się, że zamarzają mi płuca. Biegłem obok

Długiego Noża przez jakieś dwa czy trzy kilometry – inni zostali trochę z tyłu – kiedy zapytał:

- Czy w swoim kraju nigdy nie biegałeś po śniegu?

Odpowiedziałem, że nie pamiętam mojego kraju.

- Ktoś rzucił na ciebie urok. Powinieneś się cieszyć.

- Dlaczego?

- Bo nikt cię nie zabije. Kiedy ginie zaklęte zwierzę, urok szuka nowego domu i przenosi się na

zabójcę.

- Nie jestem zwierzęciem.

Zachichotał, nie przerywając biegu.

- Wszystkie zwierzęta tak mówią. Nashhwonk też, uważaj.

- Czy on nas aby nie usłyszy? Przecież śpiewacie...

- Chcemy, żeby nas usłyszał. Boi się nas, więc zacznie uciekać. Kiedy go dogonimy, będzie zbyt

zmęczony, żeby się dobrze bronić. Jest za duży do biegania po śniegu.

- Czy Ketin też jest za duży?

Z wyrazu twarzy Długiego Noża wywnioskowałem, że w lepszym tonie byłoby nie wymieniać tego imienia.

- Ketin ma bardzo lekki krok - odpowiedział i zwiększył tempo, tak że po chwili miał nade mną dziesięć metrów przewagi.

Było to zachowanie do tego stopnia dziecinne, że wstyd powiedzieć, ale aż mi się udzieliło.

Przyspieszyłem i tak, jak się tego spodziewałem, okazało się, że potrafię biec znacznie szybciej od niego.

Dogoniłem go i przez chwile biegliśmy ramię w ramię, po czym, starając się cały czas poruszać niezbyt wysokimi

skokami, wyprzedziłem go i bez żadnych problemów pozostawiłem z tyłu. Aby podkreślić moją wyższość, nie

zwalniałem tempa, aż wreszcie cała gromada znalazła się poza zasięgiem mojego wzroku i słuchu.

Las robił się coraz bardziej gęsty i wkrótce znaczną część energii musiałem poświęcić na kluczenie między

pniami i przeskakiwanie połamanych konarów. Nagle, przedarłszy się przez splątane zarośla, znalazłem się na

otwartej przestrzeni. Wiatr tymczasem zamienił się w prawdziwą wichurę, ale pomimo zacinającego śniegu

mogłem dostrzec w odległości mniej więcej kilometra przede mną szeroki na co najmniej sto metrów, częściowo

przysypany już śniegiem, ale ciągle jeszcze doskonale widoczny ślad. Wspinał się szeroką wstęgą na łagodne

wzniesienie, zupełnie jakby jakaś nieprawdopodobna siła przepchnęła tedy wielusettonowy ciężar.

Zapomniawszy momentalnie o Nashhwonku, którego tropem do tej pory szedłem, popędziłem przed

siebie, by zbadać z bliska tajemnicze zjawisko. Widok zasłaniał mi częściowo mały pagórek, a kiedy znalazłem

się na jego wierzchołku, ujrzałem coś, co kazało mi natychmiast odłożyć na bok wszelkie myśli o badaniu

zagadkowego szlaku. Na samym jego środku, na masywnym krześle wykonanym z ciemnego drewna siedział

człowiek większy, niż mógłbym to sobie wyobrazić w najśmielszych przypuszczeniach. Twarz miał zwróconą w

moją stronę, jakby spodziewał się mego nadejścia, aczkolwiek coś w jego grubych rysach zdawało się świadczyć

o tym, że nie oczekiwał mnie tak szybko.

- Jesteś jednym z nich? - zapytał, lekkim ruchem głowy pokazując, że ma na myśli członków plemienia,

których pieśń, przytłumiona odległością i padającym śniegiem, właśnie w tej chwili dotarła do moich uszu.

- Nie – odparłem. - Jestem ich gościem.

- Ale polujesz z nimi.

Wstał i dosyć niezgrabnie obszedł swoje krzesło, by stanąć za jego oparciem. Choć był potężnie zbudowany i bardzo wysoki, to i tak jego nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie.

- Nie poluje na ciebie - powiedziałem.

- To mądrze.

- Nie boje się ciebie. - (Było to kłamstwo i przypuszczam, że tak właśnie zabrzmiało). - Nie poluje na ludzi

sądziłem, że tropimy jakieś zwierzę. - (Kolejne kłamstwo, widziałem przecież jego ślady. Jednak jak o człowieku

zacząłem myśleć o nim dopiero wtedy, gdy przemówił). - Ty jesteś Nashhwonk?

- Zabójca ludzi, tak mnie nazywają. Widzisz? - Uniósł krzesło jak piórko i skierował je w moją stronę.

Końce wszystkich czterech nóg były zastrzone i miały barwę znacznie ciemniejszą, niż reszta drewna.

Wyglądały, jakby były zrobione z metalu.

Nashhwonk postukał palcem grubości mego przedramienia w łączącą ramy oparcia poprzeczkę.

- Ściągną, którymi to jest związane wycięciem z ludzkiej nogi. Co do twoich przyjaciół, to zabiłam ich już

parę tuzinów. Teraz chcą dopaść mnie w głębokim śniegu, po którym mogą poruszać się jak muchy, ale tutaj, na

szlaku Wielkich Sań śnieg zamienił się w lód i wątpię, żeby byli szybsi ode mnie. Nawet na pewno nie będą.

Zabije ich wszystkich. Kto jest ich wodzem? Długi Nóż? Zapytaj go, co przydarzyło się jego ojcu.

- Już tu jest - odparłem. - Sam możesz go zapytać.

Kilkoma potężnymi susami Długi Nóż stanął przy moim boku.

- Widzę, że go znalazłeś - wysapał. - Tak myślałem, że tu właśnie na nas poczeka. Czasem sam udeptuje

spory szmat śniegu, by ułatwić sobie poruszanie, ale to bez znaczenia. I tak go dostaniemy.

- Skoro nie udało się wam wcześniej, to skąd wiesz, że teraz akurat będzie inaczej?

Nashhwonk utkwił w Długim Nożu spojrzenie swych przekrwionych oczu i nie odzywał się ani słowem.

W pewnej chwili, nie wypuszczając ani na moment swego krzesła, ruszył powoli wzdłuż ugniecionego traktu.

Długi Nóż i ja, trzymając się cały czas na skraju głębokiego śniegu, potruchtaliśmy za nim. Pieśń łowców zbliżała

się coraz bardziej.

- Nie bój się, zabijemy go - powiedział Długi Nóż. - Będzie dzisiaj masa mięsa. Nie raz już go zabijaliśmy.

- Wiec jak może być tutaj?

- Nashhwonk to Nashhwonk, ten czy inny, cóż to za różnica.

Wiatr dał nam prosto w twarz, oślepiając nas zacinającym śniegiem. W pewnej chwili Długi Nóż przyspieszył kroku i wbiegł na trakt jakieś pięćdziesiąt metrów przed Nashhwonkiem. Kusze miał

przygotowaną

do strzału i domyśliłem się, że chce wykorzystać silny wiatr i trafić olbrzymu w głowę. Jednak Nashhwonk

momentalnie zgiął się w pół i osłaniając krzesłem całą górną część ciała ruszył prosto na napastnika. Strzał

równałby się po prostu zmarnowaniu jednej pałki, toteż Długi Nóż wycofał się w głęboki śnieg. Reszta myśliwych

dotarła właśnie do miejsca walki.

- A ty co? - zapytał Długi Nóż. - Będziesz chyba jadł mięso, nie?

Odparłem, że przypuszczam, że tak.

- Wiec możesz nam trochę pomóc. Idź na drugą stronę, musimy go okrążyć i strzelać wszyscy naraz.

Wykonując polecenie, o mało co nie zbliżyłem się za bardzo do Nashhwonka. Wielki niczym drzewo

rzucił się ze swoim krzesłem w moją stronę, tak że ledwo zdołałem uniknąć przygwożdżenia do ziemi, a potem

machnął nim jeszcze niczym cepem, chybiając nie więcej niż o kilka centymetrów. Długi Nóż strzelił, trafiając go

w ramie, ale pałka nie wyrządziła olbrzymowi żadnej widocznej szkody. W chwili potem Nashhwonk popędził za

mną. Jego nogi były dłuższe ode mnie całego toteż na ubitym śniegu mógł osiągnąć niezwykłą szybkość, ja

jednak, jak się ku memu niemałemu zdziwieniu okazało, przewyższałem go nie tylko zwrotnością, co było

oczywiste, ale wcale nie byłem od niego wolniejszy. Wiedziałem, że zdołam mu uciec, jeśli tylko nie pośliznę się

i nie przewrócę. Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby wyobrazić sobie, jakie by były tego następstwa.

W ślad za mną na drugą stronę przeprawili się także i inni i po kilku minutach Nashhwonk był już

okrążony. Uderzenie zaostrej pałki rozcięło mu skórę na czole, ale dzięki gęstym brwiom krew nie zalewała

mu oczu. Poza tym, o ile mogłem się zorientować, jeszcze się nam nie udało wyrzucić mu żadnej krzywdy. Po

pewnym czasie stało się jasne, że trzeba będzie zmienić taktykę; te pałki, które po wystrzeleniu padały na ubity

przez Wielkie Sanie śnieg, o ile, rzecz jasna, nie działo się to zbyt blisko Nashhwonka, można było podnieść i

użyć ponownie, te jednak, a było ich niemało, które mijały cel i wpadały w olbrzymie zasy, przepadały na dobre.

W miarę, jak wyczerpywały się zapasy amunicji i rosło zmęczenie olbrzymia, krąg zaciskał się coraz bardziej. Ci,

którzy nie mieli już czym strzelać, przewieszali kusze przez ramię i wyciągali zza pasa noże o szerokich,

kamiennych ostrych rękojeściach ze skóry. Kiedy Nashhwonk był odwrócony do nich plecami, doskakiwali do

niego, usiłując przeciąć mu ścięgna w nogach. Jeden z nich znalazł się w pewnej chwili zbyt blisko olbrzymia i

został trafiony potężnym zamachem monstrualnego krzesła. Przeleciał w powietrzu kilka metrów, a gdy padł na

śnieg, Nashhwonk był już przy nim, usiłując przygwoździć go do ziemi. Myśliwy próbował odturlać się na bok i

już prawie mu to się udało, kiedy jedna z zaostzonych nóg krzesła przebiła mu udo, wbijając się głęboko w lód.

Nashhwonk poderwał krzesło do góry, szykując się do zadania ostatecznego ciosu, ale w tej samej chwili Długi

Nóż potężnym skokiem znalazł się na jego plecach i wbił mu ostrze w kark.

Trysnęła pulsująca w rytm bicia ogromnego serca fontanna krwi – zupełnie jakby Nashhwonk miał w

środku wyłącznie kipiącą życiem czerwień. Puścił krzesło i sięgnął do Długiego Noża swymi mocarnymi rękami,

ale ten dźgnął go w przegub. Jednocześnie inni myśliwi przecięli gigantowi ścięgna Achillesa i Nashhwonk,

niczym wielkie drzewo, padł ciężko na ziemię. Kiedy wyciągnęliśmy z jego objęć nie mogącego

złapać tchu

Długoego Noża, olbrzym już nie żył.

Cześć z nas zajęła się rannym myśliwym, inni zaś nie zwlekając zabrali się do ćwiartowania Nashhwonka.

Wielką głowę o dzikich oczach, dłonie, stopy i wnętrzności pozostawiono na miejscu, stanowiące zaś specjalną

nagrodę wątrobę i otulone warstwą tłuszczu serce zamrożono w śniegu. Były one przeznaczone dla Długoego

Noża. Na jego polecenie prawie połowa ludzi poszła do lasu, by przygotować sanie do transportu mięsa. Uwinęli

się tak szybko, że wrócili jeszcze przed końcem ćwiartowania, ciągnąc za sobą sanie wykonane z giętkich,

6

powiązanych rzemieniem drzewek. Końce dwóch najdłuższych odgięto ku górze, tak, że mogły służyć jako płozy.

Spod swego futrzanego odzienia Długi Nóż wyciągnął trójkątną płachtę, wykonaną ze zszytych ze sobą wielu

bardzo cienkich skór jakichś małych zwierząt. Ociosana starannie żerdź służyła za maszt, zaś dwie inne za reje.

Powiedziałem Dłугоmu Nożowi, że sądziłem, iż będziemy musieli sami ciągnąć załadowane sanie.

- Będziemy, ale tylko na trudniejszych odcinkach - odparł. - Ten żagiel zaoszczędzi nam masę roboty.

Mamy dobry wiatr – prosto w plecy, gdy będziemy jechać śladem po Wielkich Saniach i trochę z boku, kiedy

będziemy zbliżać się do obozu. Taki jest najlepszy.

- Gdyby wiatr był inny, nie szlibyśmy w te stronę - wyjaśnił mi jeden z mężczyzn - Dobry myśliwy zawsze

poluje pod wiatr lub w poprzek, bo wtedy można wrócić, nawet jeśli jest dużo mięsa, a poza tym zwierzęta nie

mogą nic zwietrzyć.

- Tak - powiedział Długi Nóż - ale kiedy trafiliśmy na trop Nashhwonka, musieliśmy iść tam, gdzie i on.

Kiedy sanie zostały załadowane, ułożyliśmy rannego na stercie zamrożonego już mięsa, a potem wdrapaliśmy się sami, gdzie kto mógł znaleźć miejsce. Długi Nóż stał z tyłu sań, wparty stopami w to, co zostało

z nóg Nashhwonka i operował żaglem oraz długim rumplem. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy zastanowić

się, jak mogły wyglądać Wielkie Sanie. Zapytałem o to przycupniętego koło mnie myśliwego.

- Nie wiesz? - zdziwił się. - Przecież stamtąd przybyłeś.

- Jesteś pewien?

- Ubierasz się tak jak oni, a znaleźliśmy cię wkrótce po tym, jak odjechali.

- Nic nie pamiętam. Zostawiły taki szeroki ślad... Czy były szersze niż dłuższe?

- Nie. Znacznie dłuższe. Jak kij,

- I byli na nich ludzie?

- Mężczyźni i kobiety, wszyscy ubrani jak ty. Tamte Sanie nie były płaskie, jak te. Był na nich wielki szałas, a na tym szałasie cała masa mniejszych. Nie miały żagla, ale nikt ich nie ciągnął, kiedy ruszały w drogę.

Tak, jakby specjalnie dla nich świat się pochyłał, a one po prostu po nim zjeżdżały.

- Rozumiem – powiedziałem, chociaż kompletnie nic nie rozumiałem. Mimo że poruszaliśmy się z f wiatrem i nie było pozornego ruchu powietrza, który mógłby nas dodatkowo ziębić, to bezruch, w jakim i

przebywałem sprawił, że odczuwałem chłód znacznie wyraźniej niż wtedy, kiedy tropiłem Nashhwonka.

Zapytałem, czy Wielkie Sanie poruszały się z taką szybkością, ale mój sąsiad potrząsnął głową.

- Nie szybciej niż dobry piechur. Szliśmy za nimi przez dłuższy czas, ale tamci nie pozwolili nam się na nie

wspiąć, więc musieliśmy wrócić. Wtedy znaleźliśmy ciebie.

Wieczorem, przy ognisku, myślałem ciągle o Wielkich Saniach i o zabiciu Nashhwonka. Sądziłem, że

członkowie plemienia uważają mnie już za swojego – potrafię przecież skakać i biegać lepiej, niż którykolwiek z

nich, sam zabiłem łanie Lenizee i to ja przeciąłem jedno ze ścięgien Nashhwonka, kiedy ten szykował się do

zabicia Długiego Noża. Jednak kilka chwil temu, kiedy już wszyscy spali, Długi Nóż przyszedł do mnie i

powiedział, że będzie dla mnie lepiej, jeśli opuszczę obóz.

- Jeżeli tego nie zrobisz - powiedział - to pewnego dnia, kiedy zabraknie żywności, ktoś –

najprawdopodobniej jedna z kobiet – zabije cię, bez względu na to czy jesteś zaczarowany czy nie. Odparłem, iż

nie sądziłem, że są zdolni do takich rzeczy.

- Czy znasz Krzywą Nogę? Tego, którego zranił Nashhwonk?

- Tak, ale sądziłem, że nazywa się Ognisty Kogut.

- Kiedy rana się zagoi, będzie się nazywał Krzywa Noga. Czy byłoby w porządku, gdybyśmy go zabili i

zjedli?

- Nie wiem, ale nie wydaje mi się.

- To by nie było w porządku. Ludzie z Wielkich Sań uważają inaczej, ale według naszych odwiecznych

praw można jeść każde mięso, z wyjątkiem mięsa człowieka. Jeżeli jednak Krzywa Noga nie wydobrzeje do

następnego okresu głodu, najprawdopodobniej zostanie zabity. Głód jest najwyższym prawem – kto go nie

przestrzega, ten ginie. Jeśli złamie się jakieś inne prawo, jest się karanym chorobą albo niepowodzeniem w

łowach. Czasem wina może być wybaczona, czasem wybaczenie można sobie kupić.

- Rozumiem.

- Ty nie jesteś człowiekiem. Na twarzy rosną ci włosy i musisz je ścinać - widziałem, jak to robisz. Sądzę,

że jesteś spokrewniony z Ketinem.

- Nigdy go nie widziałem.

- Nic nie pamiętasz, dlaczego więc nie miałbyś zapomnieć także swego pochodzenia? On także skacze

bardzo daleko, chociaż jest duży, a ty mały. I też ma włosy na twarzy.

- Co powinienem zrobić?

- Opuścić nas jutro rano. Cześć mięsa Nashhwonka należy do ciebie. Dam ci je. Możesz też wziąć sanie,

które dzisiaj zbudowaliśmy. To dobre drewno.

- Czy mógłbym dostać żagiel?

Długi Nóż potrząsnął głową.

- Nie, jest zbyt cenny.

7

- Dam ci za niego moją porcję mięsa Nashhwonka.

Roześmiał się.

- Więc nie będziesz potrzebował sań, żeby je przewieźć.

- Zdobędę mięso. Ty dasz mi żagiel, a ja dam ci moją cześć Nashhwonka.

- Zgoda.

Sięgnął pod futro i wyciągnął skórzaną płachtę.

- Musisz tylko przywiązać go rzemieniami, tak jak widziałeś to dzisiaj.

Kiedy już poszedł, zacząłem się zastanawiać, jak wiele prawdy było w jego słowach. Miałem nawet zamiar

spać z nożem w dłoni, ale doszedłem do wniosku, że przecież teraz mięsa jest w bród i że nie grozi mi

bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Czwarty dzień. Rano na skraju wioski znalazłem obiecane sanie. Były nietknięte, z uwiązanymi do

masztu rejami. Poszedłem do chaty Długiego Noża, gdzie on i Czerwona Kluy przygotowywali właśnie poranny

posiłek i oddałem mu kusze, którą jego matka pożyczyła mi pierwszego dnia mego pobytu w wiosce. Miałem

nadzieje, że pozwolą mi ją zatrzymać. Tak się jednak nie stało, aczkolwiek zostałem zaproszony na śniadanie.

Potem odwiedziłem leżącego w swojej chacie Krzywą Nogę i życzyłem mu szybkiego powrotu do zdrowia. Przez

cały czas naszej rozmowy ani na moment nie wypuścił z dłoni noża, więc przypuszczam, że to, co wczorajszego

wieczoru powiedział mi Długi Nóż, było prawdą. Przydałaby mi się kusza Krzywej Nogi, ale nie miałem nic, co

mógłbym mu za nią zaoferować.

Kiedy się z nim pożegnałem, nie miałem tu już nic więcej do roboty. Wróciłem do sań, przywiązałem

żagiel i naciągnąłem szot. Wiatr osłabł nieco, ale ciągle wiał z zachodu, co oznaczało, że bez większych kłopotów

powiniennem dojechać do śladu pozostawionego przez Wielkie Sanie, chociaż tam przyjdzie mi pewnie ciągnąć

moje sanki za sobą.

Z tak małym ładunkiem sanie poruszały się bez problemu nawet po miękkim śniegu i tylko dwa razy

musiałem im trochę pomóc, kiedy podjazd okazał się zbyt stromy. Żeglowanie po śniegu okazało się wielką

frajdą, a gdy już nauczyłem się porządnie wyostrzać do wiatru, udało mi się osiągnąć całkiem znaczną prędkość.

Zaczynałem się co prawda martwić o żywność, ale nie miało większego sensu, żebym zatrzymał się i starał

wytropić śnieżne małpki, bo przecież i tak nie miałbym czym ich zabić. Moją szansą było jak najszybsze

dogonienie Wielkich Sań, bowiem na zdobycie jedzenia w inny sposób raczej nie miałem co liczyć.

Z tego, czego udało mi się dowiedzieć wynikało, że Wielkie Sanie wyprzedzały mnie o jakieś

sześćdziesiąt

godzin. Poruszały się jednak powoli, a poza tym sporą część dnia spędziły z ludźmi Długiego Noża, toteż byłem

przekonany, że jeśli uda mi się utrzymać tę prędkość, to być może doścignę je jeszcze dzisiaj, a z całą pewnością

w dniu jutrzejszym.

Po dotarciu do szlaku wciągnąłem sanie na szczyt wzgórza – tego samego, które dostrzegłem podczas polowania na Nashhwonka – po czym z niemałą ulgą zająłem na nich miejsce i zjechałem na dół. Okazało się to

niemal równie przyjemne, jak żeglowanie. Pomimo przeciwnego wiatru udało mi się, poruszając się zakosami po

całej szerokości szlaku, osiągnąć następne wzniesienie bez zsiadania z sań, a tym samym znacznie szybciej, niż

gdybym musiał je ciągnąć za sobą.

Po mniej więcej godzinie przyszła mi do głowy myśl, że usuwając część wzdłużnic, koniecznych podczas

transportu tak potężnego ciężaru, jaki stanowiła martwa tusza Nashhwonka, teraz zaś zupełnie niepotrzebnych,

mogę znacznie zmniejszyć masę mego wehikułu. Odwiązałem je, zyskując dzięki temu sporo rzemieni, które

wykorzystałem dla lepszego umocowania masztu, łącząc go z wygiętymi ku górze przednimi częściami płóz.

Prędkość wzrosła w sposób wyraźny, a gdy po jakimś czasie, ku mej wielkiej radości, wiatr zmienił swój kierunek

na bardziej północny, pędziłem z taką szybkością, że ze szczytu każdego wzniesienia, na jakie po drodze

wjeżdżałem, zacząłem się już pilnie rozglądać w poszukiwaniu sylwetki Wielkich Sań.

Zapadł zmrok, ja jednak żeglowałem dalej. Niewiele już dzieliło mnie od całkowitego zamarznięcia, ale

mimo to nie przerwałem podróży nawet po zachodzie słońca, korzystając ze światła najpierw

obydwu, a potem już

tylko jednego księżycy. Kiedy jednak i ten schował się za horyzont przestałem w ogóle widzieć szlak. Mógłbym

bardzo łatwo skrócić w złą stronę i nic o tym nie wiedząc zjechać z niego, tracąc tym samym to, co dzisiaj udało

mi się nadrobić. Około północy zatrzymałem się i odciągnąłem sanie jakieś pół kilometra w bok - chociaż może to

być znacznie bliżej, bo naprawdę jestem bardzo zmęczony. Znalazłem te kępę niewysokich drzew i dla osłony

przed wiatrem wygrzebałem sobie przy nich dziurę w śniegu.

Piąty dzień. Kiedy się rano obudziłem – a niewiele brakowało bym się już nie obudził – nogi miałem tak

zmarznięte, że w ogóle nie mogłem nimi poruszyć. Musiałem długo je masować i nacierać śniegiem, zanim

poczułem, że wraca do nich życie. Skórę twarzy mogłem masować sobie do woli, i tak nie reagowała na

dotknięcie. Sądzę, że przeżyłem tylko dzięki nadzwyczajnym właściwościom mego kombinezonu oraz dzięki

temu, że położyłem się bardzo późno, kiedy do świtu pozostało już niewiele godzin. Teraz wiem, że zawsze

musze mieć ogień, jakieś schronienie, oraz że nie wolno mi kłaść się bezpośrednio na śniegu.

Kiedy już przywróciłem czucie mym na pół zamarzniętym kończynom, zacząłem się zastanawiać nad

8

sposobem zdobycia czegoś do jedzenia, chociaż, dziwna rzecz, wcale nie odczuwałem głodu. Możliwe, że od

Wielkich Sań dzieliło mnie nie więcej niż kilka kilometrów. Jeżeli jednak okazałoby się inaczej, to bez jedzenia

byłbym za słaby, by przetrwać do następnego rana. Rozpaliłem więc ognisko i przypomniawszy sobie kobiety

zbierające jadalne rośliny, zacząłem grzebać w śniegu.

Dopóki szukałem wśród drzew, niczego nie znalazłem, potem jednak uprzytomniłem sobie, że przecież

kobiety wybrały odkryty, nachylony ku południowi stok. Znalazłem podobne miejsce i niebawem dokopałem się

do roślinek, które, jak mi się wydawało, jadłem w obozie Długiego Noża. Po chwili z całym ich naręczem

wróciłem do ogniska.

Czerwona Kluy i inne kobiety gotowały je wrzucając gorące kamienie do skórzanej, wypełnionej śniegiem

torby. Nie miałem takiej torby, ale po kilku próbach przekonałem się, że mogę się doskonale obejść bez niej,

wycinając po prostu nożem odpowiednich rozmiarów dziurę, w zamarzniętej ziemi. Posiłek, jaki sobie

przyrządziłem był obfity, ale niezbyt sycący. Potrzebowałem mięsa, a szczególnie tłuszczu.

Skończyłem już jeść i właśnie przygotowywałem się do wyruszenia w dalszą drogę, gdy usłyszałem głosy,

dochodzące z miejsca, w którym znalazłem moje rośliny. Wyjrzałem ostrożnie zza krzaków, stanowiących tej

nocy moje schronienie i zobaczyłem na stoku więcej niż tuzin ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci. Cześć z nich

badła ślady, jakie po sobie pozostawiłem, reszta zaś szukała żywności. Uderzył mnie ich niski wzrost i krepa

budowa ciała, oraz to, że kręcące się między dorosłymi dzieci były w różnym wieku – Czerwona Kluy wyjaśniła

mi bowiem, że dzieci rodzą się tylko o jednej porze roku, kiedy istnieje możliwość zdobycia dla nich pożywienia,

oraz że osiągają wiek dorosły, zanim urodzi się następna generacja.

Północny wiatr dał z dużą siłą i zależało mi na tym, by korzystając z tego ruszyć w drogę, ale nie wydawało

się możliwe, żeby udało mi się dotrzeć niepostrzeżenie do ukrytych po przeciwnej stronie zarośli sań. Po pewnym

czasie jednostajny wiatr zamienił się w przypadkowe podmuchy, tworzące z padającego i wzbijanego w

powietrze śniegu ruchome, przypominające zjawy kolumny. Pomyślałem, że pięknie by wyglądały załamujące się

w nich promienie słońca. Jednak już i tak zachmurzone niebo robiło się coraz ciemniejsze – tak ciemne, iż miałem

nadzieje, że korzystając z właściwie już półmroku będę mógł jakoś dobiec do sań, unikając dostrzeżenia przez

tajemniczych ludzi ze stoku.

Zbyttno jednak zwlekałem. Kiedy już, już, niemal się zdecydowałem, cała grupa zamarła nagle w

bezruchu, zwrócona w moją stronę, a po chwili czterech mężczyzn, wymachując używanymi do grzebania w

śniegu narzędziami o krótkich trzonkach i ciężkich, wygiętych ostrzach, ruszyło w moim kierunku.

Byłem pewien, że zdołałbym im uciec, ale nie ulegało też dla mnie wątpliwości, że musiałbym porzucić

sanie. Niscy, krępi mężczyźni poruszali się jednak dość szybko i nie było szans, żebym zdążył napiąć żagiel i

odjechać saniami, tym bardziej że śnieg był sypki, a wiatr niepewny. Najlepszym wyjściem z sytuacji wydawało

mi się okazanie im moich pokojowych zamiarów. Wszedłem zza krzaków z wyciągniętymi przed siebie pustymi

rękoma, przygotowany jednak na błyskawiczny odwrót gdyby mimo wszystko postanowili mnie zaatakować.

Podziałało. Cała czwórka zatrzymała się jakieś pięć metrów przede mną i chociaż cały czas ściskali swe

zakrzywione narzędzia, to wydawali się bardziej zdziwieni niż wojowniczy.

Są uderzająco brzydki. Twarze mają tak okrągłe, jakby ktoś wykreślił je cyrklem, oczy niewielkie i

schowane pod wysuniętymi łukami brwiowymi, nosy zaś małe i tak zadarte ku górze, że nozdrza wydają się być

małymi kółeczkami.

- Jestem przyjacielem - powiedziałem. - Nie chce z wami walczyć.

- Ani my z tobą - odparł najstarszy (włosy miał zupełnie siwe) i zarazem najwyższy.

- Wiec pozwólcie mi spokojnie odejść.

- Wolałbym raczej, żebyś nauczył nas swojej mądrości. Podszedł do mnie, podając mi rękojęcią do przodu

swoją dłoń. Wziąłem ją, domyślając się, że ten gest ma jakieś rytualne znaczenie, po czym, widząc, że tego

oczekuje, oddałem mu ją z powrotem.

- Czy nauczysz nas mądrości?

- Musze iść.

Zdałem sobie nagle sprawę, że wiatr zupełnie ustał. Śnieg sypał coraz bardziej.

- Niedobrze teraz wyruszać w podróż.

Przez chwile zastanawiałem się, czy aby nie czyta w moich myślach.

- Rzeczywiście - powiedziałem.

- Chodź do naszego szałas. Damy ci jeść. Kiedy śnieg przestanie padać, wyruszysz w drogę.

Przez moment zawahałem się, ale zbyt świeże było jeszcze wspomnienie przeraźliwego zimna, jakiego

doświadczyłem podczas noclegu pod gołym niebem. Skinąłem głową na znak zgody i w tej samej chwili cała

czwórka uśmiechnęła się (są znacznie mniej brzydki, kiedy się uśmiechają) i wyraźnie uspokoiła. Pół minuty

później, kiedy w padającym śniegu dotarliśmy do czekających na stoku kobiet i dzieci, wszyscy obskoczyli mnie

dookoła, dziwiąc się memu niezwykłemu ubraniu i poszturchując się nawzajem, zdaje się, że dla sportu.

Są ubrani znacznie gorzej, niż plemię Długiego Noża. Chodzą boso po śniegu i większość ma ręce gołe aż

po łokcie. Dzieci niemal bez wyjątków biegają nago, ale całe pokryte są puszystym włosiem, który w

miarę

dorastania zamienia się w mocno przerzedzoną szczecinę.

9

Najstarszy i najwyższy z nich nazywa się Poszukiwacz Gniazd i jest o pół głowy niższy ode mnie.

Wszyscy jednak są barczyści, a na ich rękach i nogach widać węzły stalowych mięśni. Poszukiwacz Gniazd i

jeszcze jeden mężczyzna otwierali pochód, w środku szły kobiety, dzieci i ja, na końcu zaś pozostali dwaj

mężczyźni, i w ten sposób dotarliśmy do szałas, w którym teraz jestem.

(Martwię się trochę o sanie, tym bardziej że nie zdjąłem żagla, ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek miał

ochotę wychodzić w zameć, która szaleje na zewnątrz. Poza tym już dawno musiał je przysypać śnieg).

Szałas zrobiony jest z gałęzi i wydaje mi się, że chyba jednak lepiej mieszka się w chatach ze skór. Gałęzie

opierają się o rusztowanie składające się z dwóch drzew i przymocowanego do nich, siedmiometrowej może

długości, drąga. Dziura w jednej ze ścian służy za drzwi, zaś dym z płonącego pośrodku niewielkiego ogniska

wydobywa się na zewnątrz przez otwór, wytopiony w pokrywającej cały szałas warstwie śniegu. Cuchnie tu

właśnie dymem oraz mocnym, słonawym odorem ciał ludzi, nazywających siebie Pamigaka.

Kiedy już weszliśmy do środka, kobiety pośpiesznie rozpały ogień i po chwili zostałem poczęstowany

potrawą przyrządzoną z korzeni i liści; jako rodzaj deseru rozdzielono, jak mi się wydaje według systemu

odzwierciedlającego obowiązującą tutaj hierarchie, kilkanaście niewielkich zwierzątek. Otrzymałem

najokazalsze z nich, chyba ryjące, o charakterystycznym krótkim pysku. Drugie co do wielkości wziął dla siebie

Poszukiwacz Gniazd, trzy następne wręczył pozostałym trzem mężczyznom, zaś resztę, na którą składały się

głównie okazy wielkości myszy, rozdał swoim ulubionym kobietom i dzieciom. Zauważyłem, że najstarsza,

okryta łachmanami kobieta w ogóle nic nie dostała. Nazywa się Krwawa Twarz o Poranku i zdaje się być

przedstawicielką absolutnych nizin społecznych, chyba czymś w rodzaju pariasa.

Skóry, które zdjęliśmy ze zwierząt ofiarowaliśmy kobietom, a następnie upiekliśmy mięso nad ogniem.

Nigdy jeszcze nie miałem w ustach czegoś równie smacznego, toteż zjadłem prawie wszystko, łącznie z tym, co,

jak mi się dotąd wydawało, zupełnie do jedzenia się nie nadaje. Zostawiłem tylko stopy, dłonie i wnętrzności.

Ciemność, jaka panowała na dworze oraz noszący wszelkie znamiona kolacji posiłek zdawały się wskazywać na

to, że jest już noc, chociaż w rzeczywistości musiało być dopiero koło południa. To niezwykle gęsto sypiący śnieg

powstrzymywał dopływ słonecznego światła.

- A teraz nauczysz nas mądrości - powiedział Poszukiwacz Gniazd.

Powiedziałem mu, że obawiam się, iż niewiele będę miał im do zaoferowania. Skinął poważnie głową.

- Tak, to jest pierwszy owoc mądrości – pokora.

- To raczej ja chciałbym się czegoś od was dowiedzieć. Widzieliście Wielkie Sanie?

Pokiwali głowami. Zauważyłem, że temat bardzo ich poruszył.

- Jak dawno temu odeszły?

- Były tutaj, potem dzień ich nie było, a potem ty się. zjawiłeś. Poznaliśmy po twojej twarzy i stroju, że

jesteś z Wielkich Sań. Tak jak oni przypominasz Wiggikki, tylko że ty nie jesteś tak okrutny.

- Kto to jest, ci Wiggikki?

- Myśliwi, którzy szybko biegają i śpiewają. To oni upolowali większość tych zwierząt. -
Poszukiwacz

Gniazd uśmiechnął się szeroko. Polują dla nas, a gdy próbują zapolować na nas, wtedy pokazujemy im, że z nami

nie przelewki.

- Nie rozumiem. Jak to, polują dla was?

- Mają taki zwyczaj, że kiedy zabiją jakieś małe zwierze, zakopują je w śniegu, by zabrać je, kiedy będą

wracać z polowania. Zamiast nich jednak my je zabieramy i to, co widzisz, w taki właśnie sposób zdobyliśmy.

Jednak to najlepsze, które ty dostałeś, sami zabiliśmy, wyciągając małego Pummangę z jego ciepłego domku pod

ziemią.

- Chyba znam tych Wiggikki. Przedwczoraj zabili Nashhwonka.

- O, to nowina! My sami...

Od strony otworu wejściowego rozległ się przeraźliwy krzyk. Pariaska, która tam siedziała, rzuciła się na

oślep do wnętrza szałas, rozrzucając przy tym płonące głownie z ogniska. Wszyscy zerwali się na nogi, gadając

jeden przez drugiego w podnieceniu, gdy w pewnej chwili zagłuszył ich nowy głos, to głęboki jak basowe

dudnienie kotłów, to znów zawodzący niczym potężna wiolonczela.

- Miłego dnia, brudasy. Co żeście znaleźli na stoku?

Przed wejściem do szałas przyklęknął człowiek dorównujący chyba rozmiarami Nashhwonkowi i starał

się zajrzeć do wnętrza. Miał małą cofniętą brodę, krótką górną wargę, wydatne kości policzkowe i duże zielone

oczy, tak piękne, że aż nie pasujące do twarzy mężczyzny. Dzięki nim z tego człowieka, pomimo jego wzrostu i

oczywistej płci, emanowało coś, jakby kobiecość, czy może nawet zniewieściałość. W dużej, ale dość delikatnie

wyglądającej dłoni trzymał sporządzoną z żebra jakiegoś ogromnego zwierzęcia pałkę, zakończoną sprawiającymi bardzo groźne wrażenie hakami.

Mężczyźni, a wraz z nimi kilku dorastających chłopców ruszyli od razu w jego stronę, podczas gdy kobiety

skupiły się wokół Krwawej Twarzy o Poranku, której plecy przeorane były na całej długości świeżą szramą -

najwidoczniej dosięgnął ją jeden z haków. Dołączyłem do mężczyzn, aczkolwiek dysponując jedynie składanym

nożem nie bardzo wiedziałem, na co mógłbym liczyć.

Poszukiwacz Gniazd uniósł ostrzegawczo swą zakrzywioną broń.

10

- Weź mnie - powiedział. - Wyciągnij mnie stąd, Mimmunka, a umierając wbije ci to po rękojęść w czoło.

Chichot Mimmunki przypominał odgłos, jaki wydaje niewielki wodospad.

- Ciebie nie chce - odparł. - Masz mięso tak twarde jak korzenie, które zjadasz. Daj mi kogoś małego i

miękkiego, na kim ci nie zależy, to sobie pójdę.

- Żeby wrócić jutro.

- Nie, przysięgam. Jutro zmieniam tereny łowieckie. Przenoszę się na równinę nad rzeką. Bagna są teraz

zmarznięte, więc będę mógł zabijać nawet dwa razy na dzień. Pamiętasz, jak wziąłem od ciebie tego małego

krzyacza? To było wtedy, kiedy księżycy podały sobie ręce. Ile dni minęło, zanim ujrzałeś mnie ponownie? Co

najmniej dwadzieścia, jak nie więcej.

- Bo cały czas tropiliśmy cię po lesie.

- A gdzie tam. Nawet tego nie zauważyłem. No, popatrz na tych, co stoją za tobą. Chyba ich wszystkich

nie potrzebujesz, co?

- Nasze prawa mówią, że musimy starać się chronić współplemieńców.

- Ho, ho. Czy to jeszcze jedna z tych szlachetnych zasad, przyniesionych przez Wielkie Sanie?

- Nasze prawa zawsze tak mówiły.

- Wiec czego się od nich nauczyłeś? Gadali tylko ot, tak sobie?

- Mogłeś sam z nimi rozmawiać, tak jak my to uczyniliśmy.

- O, tak - powiedział Mimmunka - mogłem ich wiele nauczyć.

Zdawał się zapomnieć o tym, że przyszedł tu po łup, ale zauważyłem, że cały czas przysuwa się do Poszukiwacza Gniazd.

- Niczego byś ich nie nauczył. Twoje życie polega tylko na zabijaniu.

- Mało wiesz. Daj mi tę, którą trafiłem moją pałką.

Kobiety zaszepotały między sobą, a kiedy odwróciłem się w ich stronę, wypchnęły już przed siebie Krwawą

Twarz o Poranku.

- A to kto? - zapytał nagle Mimmunka. Patrzył prosto na mnie.

Poszukiwacz Gniazd nic nie odpowiedział. W momencie, kiedy Mimmunka odwrócił od niego wzrok, rzucił się naprzód, mierząc swą bronią w rękę napastnika. Mimmunka szarpnął się wstecz, ale Poszukiwacz

Gniazd, odzyskawszy równowagę po pierwszym potężnym zamachu, nie zrezygnował. Ponowił atak, tym razem

mierząc w głowę olbrzyma.

To, co nastąpiło później działo się tak szybko, że zupełnie straciłem orientację. Po chwili Poszukiwacz

Gniazd leżał na śniegu przy wejściu do szałas, Mimmunka zaś zniknął. Pozostali mężczyźni rzucili się za nim w

pogoń, wykrzykując gardłowymi głosami groźby i wyzwiska.

Zanim zdołałem podbiec do Poszukiwacza Gniazd, dwie kobiety pomogły mu wstać na nogi i doprowadziły go do ogniska. Jak idiota zapytałem, czy nic mu się nie stało.

- Trochę mnie zadrapał. Już nieraz bywało znacznie gorzej. Kobiety ściągnęły z niego brudną skórzaną

koszule, by opatrzyć mu rany i zobaczyłem, że jego szeroka pierś jest pokryta licznymi bliznami.

- Młodzi pobiegli za Mimmunka. Chyba ich nie zabije?

Poszukiwacz Gniazd potrząsnął głową. .

- Na pewno nie. Będzie uciekał, chyba że uda im się go okrążyć. Gdyby to był Ketin albo Wiggikki, to co

innego. Zawołałbym ich wtedy z powrotem.

- Nie poszedłem z nimi - powiedział ze smutkiem w głosie prawie już dorosły chłopiec. Poszukiwacz Gniazd zachichotał.

- I bardzo dobrze. Nawet Mimmunka mógłby stać się groźny, gdyby mu przyszała ochota na twoje kručze

mięso, Białe Jabłko.

- A jednak powinienem pójść.

- Za rok już pójdziesz.

Jeden za drugim wrócili trzej młodzi mężczyźni, z minami wściekłymi i dumnymi zarazem. Kiedy 1

usiedli przy ognisku i gdy rany Poszukiwacza Gniazd zostały już opatrzone, zapytałem go, czego on i jego plemię

nauczyli ludzi, którzy przyjechali Wielkimi Saniami.

- Wszystkiego, co sami potrafimy - odpowiedział. Leżał na wznak tuż przy ogniu, ale swą starą,

szkaradną, okrutnie wyglądającą twarz zwrócił w moją stronę. - Pieśni, zawierających nasze prawa. Jak walczymy

i gdzie znajdujemy żywność. Jak budujemy szałas i co usłyszeliśmy od innych ludzi. Ale ty jesteś przecież

jednym z nich - nic ci nie powiedzieli?

Odniosłem wrażenie, że nie byłoby rozsądne przyznać się do tego, że nic nie pamiętam.

- Chciałem po prostu jeszcze raz usłyszeć to od was - powiedziałem

- Najczystsza woda jest u samego źródła. To też jest mądrość. My ich uczyliśmy i oni nas uczyli.

- Mógłbyś coś z tego powtórzyć?

- Niech to zrobi ktoś inny. Pamiętam wszystko, ale gdy stracę trochę krwi czuje, że jednak jestem już stary.

Niech mówią młodzi.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie, jękając się trochę z przejęcia, odezwał się Białe

11

Jabłko:

- Świat się zmieni. Śnieg się stopi i nigdy już nie wróci, a dzieci, które się urodzą nie będą wiedziały, f co to

jest, i będą się dziwić, gdy będziemy im o nim opowiadać.

- Kiedy to się stanie?

Białe Jabłko wzruszył bezradnie ramionami.

- Podobno niebawem. Ale co znaczy „niebawem” dla ludzi z Wielkich Sań? Kto to może wiedzieć?

- Być może nie za twego życia - odezwał się Poszukiwacz Gniazd. - A może jeszcze przed moją śmiercią.

- Właśnie. Ludzie z Wielkich Sań odsłonili przed nami kurtynę dni. Poprosiłem, by opowiedział o tym

dokładniej.

- Z szalasu na Wielkich Saniach przynieśli kamień. Gdy go się dotknęło, czuć było życie, zupełnie jakby

płonął w nim ogień. Wtedy właśnie została rozdarta kurtyna dni i ujrzeliśmy przed nami świat takim, jaki będzie,

gdy zniknie śnieg. Słońce świeciło jasno i wszędzie było mnóstwo roślin. Chodzili między nimi

ludzie z naszego

plemienia, a wraz z nimi Lenizee, jego żona i dzieci.

- A co my musimy robić? - przypomniał mu Poszukiwacz Gniazd.

- Nie wolno nam jeść niektórych rodzajów żywności - odparł markotnie Białe Jabłko, po czym nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Tego właśnie nie rozumiem. Można jeść wszystko, co można zdobyć, natomiast

nie wolno jeść tego, czego nie ma. Jak moglibyśmy jeść coś, czego nie ma?

- To, co spotyka się bardzo rzadko, nie może być zjadane. Takie jest nowe prawo. Niektóre ptaki, na przykład... - Poszukiwacz Gniazd umilkł, a ja, spoglądając w kierunku wypełnionego już ciemnością wejścia

zauważyłem, że śnieg zdążył już zatrzeć ślady niedawnej potyczki z Mimmunką. Nawet jego krew, do tej pory

odcinająca się wyraźnie od białego śniegu, zniknęła pod świeżą puszystą warstwą.

- Niektóre ptaki zakładają gniazda pod zwieszającymi się do ziemi gałęziami - wyjaśnił Białe Jabłko.

- Kiedy nadejdzie ciepło, nie będą wiedziały, co się dzieje i przez jakiś czas będą znosiły mało jajek. Nie wolno ich

jeść.

Poszukiwacz Gniazd leżał z zamkniętymi oczami. Po chwili Białe Jabłko nachylił się do mnie i dokończył

przyciszonym głosem:

- On znajdował kiedyś bardzo dużo tych gniazd i teraz się tym martwi. Ale wtedy można było to robić. Czy

prawo może sięgać wstecz?

Potrząsałem głową.

Niespodziewanie odezwał się Poszukiwacz Gniazd

- Myślałem, że zginę w obronie kobiet i dzieci. Nie sądziłem, że umrę przy ognisku.

Szósty dzień. Przesłuchałem właśnie to, co nagrałem wczoraj – Cim jeszcze się nie obudziła – i doszedłem

do wniosku, że nie powinienem urwać tak raptownie mojej relacji. Nie było to jednak zamierzone, po prostu po

odejściu człowieka zwanego Mimmunką nic więcej już się nie zdarzyło. Śnieg padał nieustannie. Poszukiwacz

Gniazd leżał przy ognisku, oddychając chrapliwie. Resztę wieczoru spędziłem rozmawiając z innymi członkami

plemienia i przysłuchując się ich rozmowom, a potem wszyscy poszli spać.

Kiedy się obudziłem dziś rano, Poszukiwacz Gniazd już nie żył. Zdaje się, że tylko dla mnie stanowiło to

zaskoczenie, inni bowiem wyjaśnili mi, że musiał czuć zbliżającą się śmierć wtedy, gdy mówił o niej poprzedniego wieczoru. Dlatego właśnie wszyscy położyli się spać w tak znakomitych nastrojach – wiedzieli

bowiem, że mogą niebawem oczekiwać stypy i przypuszczali, że ja także się z tego powodu cieszę. Zapytałem,

czy mają zgromadzoną specjalnie na ten cel żywność. Wy tłumaczyli mi, że jedynym daniem na stypie będzie

właśnie Poszukiwacz Gniazd. Wolałem się po tym już nie odzywać, ale zdaje się, że Białe Jabłko zauważył wyraz

mojej twarzy, bowiem odwołał mnie potem na bok i zapewnił, że sam Poszukiwacz Gniazd wielokrotnie

uczestniczył w takich ucztach i że jego duch dopiero wtedy, zazna prawdziwego spokoju, gdy jego ciało w całości

wróci do plemienia, do którego należało. Wspomniał też coś o tym, że to bardzo przykre, iż matka Poszukiwacza

Gniazd już nie żyje, bowiem podczas stypy miałaby prawo do serca i oczu swego zmarłego syna.

Podczas naszej rozmowy kobiety zaczęły już oprawiać ciało. Nie chciałem zostać tu ani chwili dłużej;

najszybciej jak tylko mogłem, opuściłem szałas i ruszyłem w stronę zarośli, w których ukryłem moje sanie.

Śnieg jeszcze trochę prószył, a wiatru było tylko tyle, że mogłem czuć jego podmuchy na twarzy.

Przekonałem się niebawem, jak mądrym pomysłem było zdejmowanie żagla na noc i trzymanie go pod ubraniem,

bowiem pozostawiony przeze mnie na saniach zamarzył tak, że za nic nie mogłem go rozprostować. Musiałem

rozpalić ognisko i dopiero gdy się ogrzał, udało mi się rozpiąć go na maszcie.

Musiałem dopchać sanie do szlaku – tam na ubitym śniegu mogłem wykorzystać nawet wiatr tak słaby, jak

dzisiaj; jechałem, tyle że dosyć wolno.

Odkryłem, że takie właśnie, niespieszne żeglowanie ma swoje przyjemne strony. Nawet nastawiwszy

żagiel maksymalnie do wiatru mogłem swobodnie zmieniać pozycje w saniach, nie obawiając się ewentualnej

wywrotki. Zdobycie każdego, niewielkiego nawet wzniesienia traktowałem jak wielki sukces, który mogłem

następnie godnie uczcić zjeżdżając w dół po pochyłości. Żagiel wtedy przez chwile łopotał beżużytecznie, by

zaraz ponownie wypełnić się wiatrem i jak się zdawało, ze zdwojoną dzięki temu krótkiemu odpoczynkowi siłą

12

pchał nas dalej naprzód.

Słońce było już w pół swej drogi na niebie, kiedy ujrzałem Promienistą Cim. Biegła przede mną po szlaku,

z początku tak bardzo oddalona, że zdawała się być tylko małą, czarno-brązową plamką na białym tle śniegu. Przy

tym wietrze minęło sporo czasu, zanim udało mi się z nią zrównać; pamiętam, że przez jakieś pół godziny

myślałem, że jest mężczyzną – nie tylko dlatego, że wydawało się bardziej prawdopodobne, iż samotny

wędrowiec będzie właśnie mężczyzną, ale i z racji jej wysokiego wzrostu, za wysokiego jak na kobietę, oraz ze

względu na szybkość, z jaką się poruszała, a którą, jak się wydawało, mogła utrzymać w

nieskończoność.

Na jej widok odczułem jakąś bliżej nie sprecyzowaną obawę. Trzymała się południowej krawędzi szlaku –

gdybym jechał po jego północnej stronie, to w momencie, kiedy bym ją wyprzedzał, dzieliłaby nas blisko

stumetrowa odległość. Mogła stanowić dla mnie zagrożenie, lecz gdybym minął ją bez zatrzymywania,

straciłbym okazje zasięgnięcia informacji. Z drugiej strony, gdybym się jednak zatrzymał, straciłbym te

przewagę, jaką dawała mi szybkość sań.

Gdy odległość między nami zmniejszyła się i mogłem dokładniej obserwować jej ruchy, doszedłem do

wniosku, że musi być kobietą, chociaż biegła długim krokiem doskonale wytrenowanego atlety. Zauważyłem

również, że nie miała innej broni oprócz zwykłej pałki, niewiele dłuższej od tych, których Wiggikki używają jako

amunicji do swoich kusz, z tą tylko różnicą, że jej była zupełnie prosta.

Skierowałem sanie w jej stronę. Musiała usłyszeć skrzypienie płóz po zmarzniętym śniegu, gdyż nie

zmniejszając tempa biegu odwróciła w moją stronę głowę. Może i zdziwiła się, ale jej twarz nie należy do tych, na

których uwidaczniają się uczucia; nawet teraz, po dziesięciu czy nawet więcej godzinach przebywania razem, nie

potrafię odczytać jej wyrazu. Wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, dostrzegłem tylko ciemne oczy i

wysokie, wydatne kości policzkowe.

Ciągle jeszcze dzieliła nas spora odległość, toteż mogliśmy się porozumiewać wyłącznie krzykiem.

Pomagając sobie gestami (poluzowałem przy tym niechcący żagiel, tracąc jeden czy dwa podmuchy wiatru),

zapytałem ją, czy chciałaby wsiąść na sanie. Dotknęła dłonią brody, co oznaczało potwierdzenie, po czym nie

czekając, aż zwolnię lub zatrzymam się, kilkoma susami podbiegła do sań i bez wysiłku na nie wskoczyła, a

następnie usiadła na pozostałości rusztowania, które służyło do transportu ciała Nashhwonka.

- Dobrze biegasz - powiedziałem.

- Ale to jest lepsze. Niedługo musiałabym się zatrzymać. Czy możesz jechać prędzej?

- Nie, bo wiatr jest za słaby. Zaraz się trochę rozpędzimy, żagiel się już wypełnił.

(W rzeczywistości zacząłem się obawiać, jaki wpływ będzie miał jej ciężar na tempo naszego poruszania

się).

- Dokąd jedziesz?

Powiedziałem jej, że próbuje dogonić Wielkie Sanie,

- Nie zaczekają na ciebie? Sądziłam, że jesteś jednym z nich.

- Jeżeli nawet czekają, to ja nic o tym nie wiem. A ty? Dokąd idziesz?

Niespodziewanie uśmiechnęła się szeroko, pokazując wspaniałe zęby.

- Ja też chce dogonić Wielkie Sanie.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ma to być rodzaj pochlebstwa, oznaczającego, że pójdzie wszędzie

tam, gdzie i ja. Musiała się tego domyślić z mego wyrazu twarzy, bowiem powiedziała:

- Nie wierzysz mi, ale to prawda. Łowca Ryb nie żyje i to jest jedyne miejsce, w którym chce być.

Spytałem ją, kto to był ten Łowca Ryb.

- Jeden z naszych. Ktoś uderzył go w twarz pałką. Bardzo cierpiał, więc kiedy przybyły Wielkie Sanie,

zanim go do nich. Było mi go wtedy żal.

Umilkła, a ja nie bardzo wiedziałem, czy mądrze będzie pytać ją dalej. Dotarliśmy właśnie do długiego

podjazdu i skorzystałem z tego pretekstu, by zeskoczyć z sań i trochę je popychać.

- Jesteś bardzo silny, jak na swój wiek - powiedziała, kiedy minęliśmy wierzchołek wzgórza i

zaczęliśmy

zjeżdżać w dół.

Odparłem, że właściwie całą pracę wykonał za mnie wiatr.

- Ale i tak jesteś silny. Od razu przyspieszyliśmy, kiedy zacząłeś pchać, a tuż przed szczytem żagiel w ogóle nie pracował.

- Wydaje mi się, że kiedyś byłem cięższy.

Na znak, że mnie nie zrozumiała, podniosła dwa palce do oka. Nie wiedziałem, jak jej to wyjaśnić, więc

wreszcie, trochę nieskładnie, powiedziałem:

- Myślę, że w innym świecie byłem większy, to znaczy cięższy, niż tutaj.

- Tak, wiem o tym, że istnieją inne światy, chociaż sama nigdy ich nie widziałam. Nikt mi nie wierzył!

dopóki nie pojawiły się Wielkie Sanie. Jestem pewna, że one są z innego świata. Istnieje też świat marzeń oraz

cała masa światów lepszych i gorszych od niego. Z którego ty jesteś?

- Nie wiem.

- Znam to uczucie - powiedziała.

- To dlatego właśnie chcesz dogonić Wielkie Sanie? Bo są z innego świata?

13

- Już ci powiedziałam.

Siedziała teraz odwrócona w moją stronę. Jej wierzchnie okrycie miało okazałych rozmiarów kołnierz,

który teraz nastawiła tak, że futro okrywało jej krótkie brązowe włosy niczym kaptur.

- To jedyne miejsce, w którym chce być. Myślisz, że mi pozwolą?

- Nie wiem.

- Chyba nie... Ale może, jeśli będę szła za nimi wystarczająco długo, uda mi się ich przekonać?

- Powiedziałaś, że zniosłaś do nich Łowcę Ryb. Jak on umarł?

- Nie zabili go, jeśli to miałaś na myśli. Wiesz, wydaje mi się, że ty wcale nie jesteś jednym z nich.

Poczułem, jakby mi się nagle coś zwałiło na głowę. To uczucie nie opuściło mnie nawet jeszcze teraz,

choć minęło już pewnie ponad dziesięć godzin.

- Ubierasz się właściwie tak, jak oni - powiedziała - ale masz inną twarz. Równie dobrze mógłbyś być

jednym z naszych, który założył ich ubranie.

- Czym różni się moja twarz?

- Wyrazem. Usta masz za szerokie i chyba za duże zęby. Ale może się mylę, może chodzi tylko o jej wyraz.

Skąd masz to ubranie?

- Nie wiem.

- Zabrałaś jednemu z nich?

- Nie wiem. Kiedy znaleźli mnie Wiggikki, miałem już to na sobie. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło,

ani skąd sam jestem.

- A co zrobisz, jeżeli dogonimy Wielkie Sanie, a oni uznają, że zamordowałeś jednego z nich?

Powiedziałem jej, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem i żeby zmienić temat zapytałem, jak umarł

Łowca Ryb.

- Ludzie z Wielkich Sań wyleczyli go. Z początku nie chcieli nic robić, bo to nie oni go skrzywdzili, ale

potem powiedzieli, że pomogą mu, bo to ich obecność dała mi nadzieję, więc gdyby mnie zawiedli, to tak, jakby

wyrządzili mi krzywdę. Zajęli się nim nie dlatego, że umierał, ale dlatego, że płakałam i szarpałam moje włosy.

Wydało mi się to bardzo dziwne i nadal mi się wydaje. Zabrali go, a kiedy wrócił, czuł się już lepiej i po godzinie

mógł chodzić bez niczyjej pomocy. Nabierał szybko sił, więc uderzyłam go jeszcze raz - pokazała swoją pałkę - i

wtedy umarł. Teraz chciałabym być z nimi. Wiem, że nadawałabym się tylko do najgorszej pracy, choć jestem

najstarszą córką swego ojca, ale najgorsza praca tam, to więcej niż najlepsza gdziekolwiek indziej. Jeśli trzeba,

mogłabym nawet patroszyć dla nich zwierzynę i zjadać wnętrzności. Czy ty też czujesz coś takiego?

- Czuję tylko, że tam należę, że Wielkie Sanie są moim domem albo częścią mojego domu.

- Masz szczęście. Też chciałabym móc tak o sobie powiedzieć.

- Czy mogę wiedzieć, jak się nazywasz? Uśmiechnęła się.

- Jestem Promienista Cim. Podoba ci się to imię? Dotknąłem mojej brody.

- Mój ojciec chciał mnie nazwać Siedem Śniegów, bo tak się u nas często nazywa córki, ale urodziłam się

akurat wtedy, kiedy był na łodzi. Zanim wrócił, moja matka wstała już z łóżka i zobaczyła przypominającą jasną

gwiazdkę Cim, która śmigła z drzewa na drzewo i nie czekając na niego, nadała mi imię.

Rozłożyliśmy się obozem, kiedy słońce dotykało już niemal horyzontu.

Sądząc po świeżości śladu, od Wielkich Sań dzieli nas nie więcej niż parę kilometrów – na szlaku prawie

nie ma zasp, a śnieg jest tak ubity, że nawet przy słabym wietrze, takim jaki mieliśmy dzisiaj, można żeglować z

całkiem przyzwoitą prędkością. Sądzę, że gdyby wiało choćby trochę mocniej – albo gdyby sanie nie były

obciążone dodatkowym ciężarem Cim – już dzisiaj zakończyłbym pościg. Kusiło mnie, żeby żeglować i w nocy,

ale przypomniałem sobie, czym to może grozić i z ciężkim sercem zatrzymałem się zawczasu, byśmy mogli

jeszcze przygotować sobie jakieś schronienie.

Cim znała się na tym nieporównywalnie lepiej ode mnie. Zamierzałem rozbić obóz na odkrytym

terenie,

możliwie blisko szlaku, ona jednak poradziła mi skierować się do małego zagłębienia gruntu kilkaset metrów

dalej. Płynie tutaj strumień i jest sporo drewna na opał, a także trochę grubszych konarów, z których można

wybudować coś w rodzaju wiatrochronu. Powiedziałem jej, że nie mam żadnej żywności, ona jednak tylko się

roześmiała i kazała mi zrobić dużym kamieniem przerębel w lodzie. Ryby pierzchły we wszystkie strony, ale po

chwili, kiedy Promienista Cim wsadziła do wody swą pałkę, z którą ani na moment się. nie rozstawała, wypłynęły

brzuchami do góry na pokrytej cienkim lodem płyciźnie kilkanaście metrów w dół strumienia. Nie pozostało nam

nic innego, jak tylko wybić tam w lodzie kolejną dziurę i wyłowić kijami i gałęziami tyle ryb, ile się dało.

Zjedliśmy obfitą kolację, a teraz Cim już śpi. Wiatr coraz wyraźniej przybiera na sile i jeżeli Wielkie Sanie

zatrzymają się w nocy choćby na kilka godzin, to myślę, że mamy duże szansę dogonić je przed jutrzejszym

popołudniem. Jeżeli nam się to nie uda, to czeka nas kolejny dzień pościgu.

Siódmy dzień. Jak zwykle przesłuchałem wszystko, co powiedziałem wczoraj i wydaje mi się, że od tamtej chwili minęło znacznie więcej, niż tylko jeden dzień, chociaż właściwie nie ma zbytnio o czym opowiadać.

Zaraz po skończeniu nagrywania zapadłem w sen. Nasze schronienie miało ściany tylko z trzech stron – coś jak

szalas Poszukiwacza Gniazd – zaś w miejscu czwartej rozpaliliśmy ognisko. Pozwoliłem Cim spać tuż przy nim,

14

nie dlatego, żebym żywił jakieś głupie przesady na temat kobiecej słabości, ale dlatego, że jestem pewien, iż jej

futra, aczkolwiek rzeczywiście piękne, nie są tak ciepłe jak mój pikowany kombinezon.

Gdzieś w środku nocy obudziłem się, by stwierdzić, że ogień prawie wygasł. Cim drżała przez sen z zimna,

ja zaś nie mogłem nigdzie znaleźć przygotowanego przez nas na noc zapasu drewna. Najwidoczniej zdążyła już je

całe zużyć. Zrobiło mi się wstyd, że to ona czuwała do tej pory, by ogień nie wygasł, toteż przestąpiłem przez nią

ostrożnie i wyszedłem przynieść trochę opału.

Na niebie świeciły obydwie księżycy. Ich blask odbijał się w nieskazitelnie białym śniegu, na którego tle

wąskie pasy wolnej od lodu wody wyglądały jak rozrzucone niedbale ścinki czarnej wstążki. Wyzbieraliśmy już

drewno w bezpośredniej bliskości naszego schronienia, toteż poszedłem jakieś dwieście metrów w dół strumienia

i wróciłem z pełnym naręczem gałęzi. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam halucynacje – podwójne

księżycowe cienie (drzew, jak w pierwszej chwili pomyślałem), zdawały się być skupione koło naszego

przygasającego ogniska. W pewnej chwili jeden z nich nachylił się i podniósł z ziemi jakiś miękki ciężar. Kiedy

się odwrócił, światło obydwu księżyców padło na twarz Cim; jej głowa zwieszała się bezwładnie w dół, zaś

policzki zdawały się być bielsze i bardziej bezkrwiste od śniegu.

Cisnąłem mój ładunek w śnieg, z wyjątkiem najgrubszego i najdłuższego konaru i z krzykiem rzuciłem się

w ich stronę. Było to głupie i żalosne, bowiem, jak się po chwili przekonałem, napastników było czterech, a każdy

z nich miał co najmniej trzy metry wzrostu. Mimo to udało mi się zadać cios. Kiedy jeden z nich stanął między

mną, a tym, który trzymał Cim, zamachnąłem się moim konarem i uderzyłem w coś, co zadźwięczało jak metal.

W tej samej chwili poczułem, jakby ktoś oblał mnie płynnym ogniem. Runąłem na plecy, a to coś, co uderzyłem,

pochyliło się nade mną. Chciałem powiedzieć, że miało twarz jak z koszmarnych majaczeń, ale jest faktem, że

chyba już wtedy majaczyłem, a nawet i teraz mówię właściwie tylko dlatego, że boje się zasnąć i zobaczyć to raz

jeszcze.

Musiałem leżeć w śniegu kilka godzin. Ból skupił się po prawej stronie klatki piersiowej, tuż nad

miejscem, w którym zaczynają się żebra. Czułem jednak jakoś, że nic poważnego mi się nie stało, że to było coś

jakby uderzenie biczem albo użądlenie owada, toteż pomimo bólu bardziej martwiłem się, by nie zamarznąć na

śmierć, niż o to, co mi zrobili.

Nareszcie, kiedy zaczęło już szarzeć, odzyskałem na tyle władze w kończynach, by rozpiąć kombinezon i

dotknąć ogniska bólu. Kiedy wyjąłem rękę, była cała we krwi.

Gdy wreszcie mogłem już wstać, zebrałem rozsypane przeze mnie drewno i rozpałiłem ognisko. Wiele

bym dał za jakieś naczynie, w którym mógłbym zagrzać wodę i opłukać ranę, ale niczym takim nie

dysponowałem, toteż musiałem ochlapać zakrwawione miejsce lodowatą wodą ze strumienia. Wróciłem zaraz do

ognia, bo zimno było naprawdę przejmujące. Podarłem żagiel na pasy i tymi prymitywnymi bandażami

powstrzymałem krwawienie, po czym załatałem, na ile się dało, dziurę, w kombinezonie i obwiązałem się w tym

miejscu dookoła resztką żagla, by choć w ten sposób zabezpieczyć się przed podmuchami wiatru. Pocisk, który

mnie zranił, nie opuścił mego ciała, na plecach bowiem nie ma rany wylotowej.

Dylemat, przed którym stanąłem – ciągle jeszcze nie wiem, czy rozwiązałem go prawidłowo – polegał na

tym, czy powinienem ścigać stworzenia, które porwały Cim, czy też raczej kontynuować pogoń za Wielkimi

Saniami, by następnie pozyskać sobie pomoc ich załogi (której, jak się wydaje, byłem kiedyś członkiem).

Postanowiłem sam tropić napastników, chociaż, jak powiadam, wcale nie jestem przekonany, czy była to słuszna

decyzja. Gdybym jednak szedł nadal za Wielkimi Saniami, mógłbym dogonić je zbyt późno – tak, to bardzo

ważny punkt. Bez żagla, nawet po szlaku, poruszałbym się z pewnością nie prędzej, niż idąc śladem istot, które

nas napadły.

Poza tym obawiam się – i powinienem zdać sobie dobrze sprawę z tych obaw – tego, czego mógłbym się

dowiedzieć, doścignąwszy wreszcie Wielkie Sanie. Gdyby zaginął jeden z członków załogi, z pewnością szybko

by to zauważyli i zmienili kurs, albo wysłaliby wyprawę ratunkową. Z tego, co wiedziałem wynikało, że nic

takiego nie miało miejsca. Równie dobrze mogło się okazać, że zostałem wypędzony za jakąś zbrodnię, albo, jak

powiedziała Cim, że przywłaszczyłem sobie to ubranie, a wraz z nim osobowość, która do mnie nie należała i do

której nie miałem żadnego prawa.

Właściwie już nic więcej nie mam do dodania. Szedłem ich tropem na północ, przez coraz bardziej

pagórkowatą okolice/ ponieważ jednak jestem bardzo osłabiony, wątpię, żebym przebył więcej niż jakieś dziesięć

kilometrów. W kilku miejscach napotykałem na świeże ludzkie ślady, ale nikogo nie widziałem. Nie mam

żywności. Aha, wziąłem ze sobą broń Cim, magiczną pałkę. Wygląda po prostu jak kawał prostego kija o długości

około pół metra i może dwucentymetrowej średnicy. Uchwyt jest jasno-brązowy – jak w kuszy, którą kiedyś

miałem – i ma rzemienną pętlę do założenia na dłoń. Drugi koniec jest koloru czarnego i jest na nim osiem czy

dziesięć jakby krótkich kolców, prawie zupełnie białych. Nie używałem jej jeszcze i uważam bardzo, by nie

dotknąć czarnego końca.

Ósmy dzień. Nie wiem, czy tak jest rzeczywiście; nie ma tutaj ani dnia, ani nocy. Którykolwiek by to zresztą był, muszę już zatrzymać się i odpocząć. Opowiem o tym, co się wydarzyło, aczkolwiek jest

prawdopodobne, że będę martwy, zanim zdołam dokonać następnego nagrania.

15

Wczoraj przerwałem marsz późnym popołudniem. Przygotowałem sobie schronienie w zaroślach i rozpałem małe ognisko, które zgasło zanim jeszcze udało mi się zasnąć. Byłem zbyt osłabiony, by

robić, toteż przygotowałem się na to, że w nocy zjawi się po mnie śmierć.

Kiedy mimo wszystko obudziłem się dzisiaj rano, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem była śnieżna małpka

przyglądająca mi się z oddalonej o jakieś dwadzieścia metrów gałęzi. Rzuciłem w nią pałką, czując przy tym,

jakby coś grzebało mi pazurami w mojej ranie. Dopisało mi szczęście, bowiem udało mi się trafić. Podskoczyła,

jakby mocno zdziwiona i przeniosła się trochę dalej. Po mniej więcej pół minucie zauważyłem, że ma kłopoty z

utrzymaniem się na gałęzi, a po następnej pół minucie zsunęła się na ziemię. Próbowwała jeszcze uciekać, ale po

chwili padła na śnieg. Kiedy do niej dotarłem, jeszcze żyła; patrzyła na mnie błagalnie swymi małymi oczkami,

po czym wzrok jej zmętniał, ruchy zamarły, a wargi w ostatnim grymasie odsłoniły drobne zęby.

Tak się niefortunnie złożyło, że małpka spadła, ale magiczna pałka nie. Zaklinowała się w rozdwojeniu

gałęzi gdzieś sześć czy siedem metrów w górze i musiałem cisnąć w nią chyba z tuzin kul śnieżnych, zanim udało

mi się ją wreszcie strącić. Jedząc małpkę, pociąłem pozostałą mi jeszcze część żagla na wąskie, długie paski i

splotłem z nich linkę, której jeden koniec uwiązałem do pętli przy rękojeści pałki.

Mam nadzieję, że pozwoli mi to uniknąć ryzyka postradania pałki, chociaż nie miałem jeszcze okazji wypróbować mego pomysłu.

Małpka okazała się tak chuda, że nie miało sensu pozostawianie czegokolwiek na później. Zjadłem, co się

dało, po czym ruszyłem w poszukiwaniu śladów porywaczy. W nocy wiatr nie wiał zbyt mocno, toteż nie miałem

większych kłopotów z ich znalezieniem, jako że były niemal równie dobrze widoczne, jak poprzedniego dnia.

Pamiętam, że idąc noga za nogą usiłowałem sobie wmówić, że czuje się znacznie lepiej niż wczoraj i że będę mógł

przebyć większą odległość – ale to nie była prawda. Byłem nawet trochę słabszy. Nie przeszedłem jeszcze nawet

kilometra, kiedy zdałem sobie sprawę, że niebawem będę musiał odpocząć i że jeśli raz się zatrzymam, to potem,

wystawiony wśród gołych skał na podmuchy lodowatego wiatru, mogę nie mieć już sił, by ruszyć dalej.

Miałem już właśnie zacząć rozglądać się za czymś, co mogłoby posłużyć mi jako schronienie, kiedy zobaczyłem, że ślady istot, za którymi podążałem, nikną w miejscu, o jakie mi właśnie chodziło, a mianowicie w

otwierającej się w skalistym zboczu szczelinie. Pomyślałem, że spędzili tu noc, ale w chwili, kiedy zagłębiałem

się w ciemność wypełniającą przestrzeń między kamiennymi ścianami uświadomiłem sobie, że nie było nigdzie

widać śladów wskazujących na to, żeby stąd wychodzili.

Szczelina, która, jak z początku przypuszczałem, mogła mieć metr albo dwa głębokości, w

rzeczywistości

zdawała się nie mieć końca, zamieniając się wkrótce w schodzący w dół, skalny korytarz.

Po dwudziestu krokach wszelkie światło znikło. Wyciągnąłem z kieszeni zapalniczkę, po czym natychmiast ją schowałem, obawiając się, że mogą mnie zobaczyć. Widok, jaki błysk światła utrwalił na mojej

siatkówce, był dosyć niepokojący: korytarz, szeroki i wysoki na piętnaście do dwudziestu metrów, biegł prosto

przed siebie, z sufitu zwisały stalaktyty, zaś na jego „podłodze”, pokrytej, jak mi się wydawało, ubitą gliną, leżały

liczne kamienie i stały kałuże wody.

Szedłem przez dłuższy czas przed siebie, aż wreszcie byłem pewien, że minąłem odcinek, który

widziałem. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem temperatury powietrza, która była tutaj wyraźnie wyższa. Po chwili

rozpiąłem górę kombinezonu.

Zmiany – brak wszechobecnego do tej pory zimna i dziennego światła – nie pozostały bez wpływu na mój

stan psychiczny. Byłem zdezorientowany i to się nie zmieniło do chwili obecnej, ale jednocześnie zdaje mi się/ że

zbliżyłem się wyraźnie do Wielkich Sań, tak jakbym wkraczając do tego ukrytego przed światem miejsca, wrócił

w jakiś sposób do życia, jakie prowadziłem, zanim Wiggikki znaleźli mnie w śnieżnej zaspie. Naprawdę trudno

opisać to uczucie. Mam wrażenie, jakbym znał doskonale moje możliwości i ograniczenia, jakbym wiedział co

mogę zrobić, a czego już nie dam rady. Jestem teraz pewien, że rana w mojej piersi, aczkolwiek jeszcze bardziej

bolesna niż dotąd, mnie nie zabije i ta pewność kłóci się w sposób wyraźny z tym, co mówi zdrowy rozsądek.

Jednocześnie bardziej, niż do tej pory boje się istot, które porwały Cim, natomiast znacznie mniej śmierci, która

przestaje być dla mnie tym, czym była na zewnątrz, czyli uosobieniem wszelkiego możliwego zła. Ale nie

skończyłem jeszcze mojej relacji.

Szedłem więc w zupełnej ciemności naprzód, dotykając ręką ściany i ostrożnie badając grunt wysuniętą

przed siebie stopą zanim decydowałem się na kolejny krok. Było to bardzo męczące, toteż po jakimś czasie

zdecydowałem się użyć do tego celu magicznej pałki. Po tylu godzinach spędzonych w absolutnej czerni nie

byłem pewien, czy światło, które się przede mną pojawiło jest prawdziwe, czy też może należy to uznać tylko za

złudzenie, tak jak kolorowe plamy, które widać, gdy naciśnie się zasłonięte powiekami gałki oczne. Jednak z

każdym moim krokiem robiło się coraz jaśniej, aż wreszcie ujrzałem źródło blasku. Zanim to jednak nastąpiło, w

mimo wszystko ciągle jeszcze gęstym półmroku spotkałem wampiry.

Tak je w każdym razie nazwałem. Są to nietoperze o ludzkich twarzach i nagich, bezwłosych ciałach.

Rozpiętość ich skrzydeł sięga metra, a może nawet troszeczkę więcej. Pierwszy atak przypuściły wtedy, kiedy

jeszcze w ogóle nie mogłem ich dostrzec; tylko ich sylwetki przesłaniały na mgnienie oka widniejący hen daleko

przede mną punkcik światła. Bronilem się przed nimi pałką, a one krzyczały z bólu wysokimi, skrzeczącymi

głosami i słyszałem, jak trafione śmiertelnie uderzały w ściany i spadały na podłogę, gdzie jeszcze przez chwile

16

próbowały się czołgać. Nic nie widziałem, więc deptałem po nich, narażając się na ich ugryzienia. Na szczęście

moje buty okazały się zbyt twarde dla ich zębów, ale udało im się rozedrzeć na przedramieniu zewnętrzną

warstwę mego kombinezonu.

Po jakichś stu metrach zrobiło się na tyle jasno, że mogłem im się lepiej przyjrzeć. Twarze mają do tego

stopnia ludzkie, że nie ma żadnego problemu z rozróżnieniem płci. Ich włosy są długie i powiewają za nimi w

locie, niezwykle smukłe palce połączone cienką, prawie niewidoczną skórą, ramiona zaś stanowią szkielet dla

skórzastych skrzydeł. Ciała mają zupełnie nagie, nogi zaś, wbrew moim oczekiwaniom; nadzwyczaj długie – nie

mają żadnych kłopotów z bieganiem po dnie jaskini. Dzięki niezwykle ruchliwym, chwytным stopom,

przypominającym ludzkie dłonie lub ptasie szpony mogą utrzymywać się na gładkiej powierzchni zwieszających

się z sufitu stalaktytów.

Gdyby nie wystające im spomiędzy warg groźnie zaostrome zęby to przypuszczam, że te ich drobne

twarczyczki o dużych, ciemnoniebieskich oczach byłyby nawet ładne. Jakiś czas temu znalazłem szczelinę, w

której teraz odpoczywam i cały czas obserwuje, jak te tajemnicze istoty łapią w płynącym pode mną strumieniu

białe, ślepe ryby. Czynią to w ten sposób, że stoją bez ruchu na jednej nodze, a gdy jakaś ryba podpłynie do nich,

wykonują błyskawiczny ruch drugą i chwytają szamoczącą się zdobycz w szpony. Używając magicznej pałki Cim

sam mógłbym chyba nałapać tych ryb, ale po pierwsze, są bardzo małe, a po drugie nie mam ognia, żeby je nad

nim upiec.

Dziewiąty dzień. Nareszcie mogłem zasnąć. To miejsce jest nie więcej niż w jednej czwartej wysokości

jamy, ale i tak wydaje się bardzo wysoko. Widzę przed sobą leżące pośrodku jaskini miasto zupełnie tak, jakbym

był ptakiem. Albo, co by było w tych warunkach znacznie lepsze, jednym z wampirów. Sądzę, że

jestem na tym

samym poziomie, co wierzchołki najwyższych wież.

Miasto wygląda upiornie nawet z tej odległości, ponieważ budynki nie mają ani ścian, ani stropów.

Składają się wyłącznie z metalowych szkieletów, zupełnie jakby ich budowniczy uznali, że wystarczy po

prostu stawiać jedno piętro nad drugim, natomiast za sufit i ściany służyć będą sufit i ściany ogromnej jaskini. W

rezultacie sprawia to wrażenie, jakby te części budowli po prostu rozpadły się w pył; gdzieś tam zresztą widać

ich resztki trzymające się jeszcze metalowych szkieletów konstrukcji.

Obudziłem się dziś rano ze świadomością, że muszę znaleźć coś do jedzenia, w przeciwnym bowiem razie

będę z dnia na dzień coraz słabszy, aż wreszcie umrę z głodu, nie udzielwszy żadnej pomocy Promienistej Ciemności.

Poszedłem do miasta w nadziei, że uda mi się zdobyć jakiś palny materiał, na którym będę mógł upiec sobie ryby

ze strumienia. Z gliniastej drogi zszedłem, rzecz jasna, na długo przed położeniem się spać, bowiem zrobiło się

już tak jasno, że obawiałem się, iż mogę zostać dostrzeżony.

Dno jaskini, po którym teraz szedłem, zasypane było gładkimi, obtoczonymi przez wodę kamyczkami, tu i

ówdzie zaś spoczywały ogromne, oderwane od ścian lub sufitu gązdy. Starałem się trzymać w ich cieniu, ale w

miarę zbliżania się do miasta pochodzące z budynków światło – aczkolwiek żółte i niezbyt jaskrawe – było coraz

jaśniejsze i bardziej rozproszone, aż wreszcie czułem się zupełnie nagi, jakby z ażurowych wież obserwowały

mnie niezliczone pary oczu, przed których natarczywymi spojrzeniami nie miałem gdzie się schować.

Po przebyciu dwóch czy trzech kilometrów znalazłem się już na tyle blisko, by stwierdzić, że upiornie

budowle wypełnione były stojącymi bez ruchu maszynami. Nie wiadomo czemu spodziewałem się, że na

obrzeżach miasta natrafię na mniejsze budynki i być może na stosy odpadków, ale teraz odniosłem wrażenie, że

się myliłem – wieże zdawały się wystrzelać zniecka spod skalistej powierzchni.

Kiedy jednak podszedłem jeszcze bliżej, okazało się że moje domysły były słuszne. Ta część jaskini, w

której się w tej chwili znajdowałem musiała być kiedyś wypełniona wszelkiego rodzaju odpadkami.

Teraz jednak to wszystko już zniknęło, wtopiwszy się w gliniasto-skaliste podłoże, tak że tylko drobne

nierówności terenu, niezwykle, rdzawo-brązowe nacieki i od czasu do czasu jakiś kęs stopu tak twardego, że

przetwał bez śladu rdzy całe stulecia, świadczyły o przeszłości tego miasta.

Niszczące działanie czasu dotknęło również małe budowle stojące u podnóża olbrzymich wież. Pozostały

po nich tylko zarysy fundamentów i czasem niewielkie baseny czarnej wody, stojącej tam, gdzie niegdyś były

piwnice. Ścian nigdzie już nie mogłem się dopatrzeć; mogło ich zresztą nigdy nie być, a domniemane budynki

równie dobrze mogły być na przykład jakimiś ledwo co wyniesionymi nad poziom gruntu platformami.

Minąwszy miniaturowe, ciche jeziora znalazłem się tuż pod potężnymi wieżami. Światło było już

bezlitośnie jasne i jak mi się wydaje, szedłem naprzód wyłącznie dlatego, że powodował mną jakiś rodzaj

fatalizmu. Musze pomóc Cim, musze także znaleźć żywność. W mieście była zarówno Cim, jak i jedzenie, a że

najwyraźniej nigdy nie zapadał tu zmrok, to chwila ta równie dobrze nadawała się na dokonanie rekonesansu, jak

i każda inna.

Przypuszczam, że mimo wszystko nikt mnie nie zobaczył. U wejścia do miasta nie było żadnych

strażników, a jeżeli nawet byli, to ich ciała musiały rozsypać się w pył co najmniej tysiąc lat temu. Otaczały mnie

tylko szerokie ulice oraz gładkie, piętrzące się w górę szkielety budynków. Ulice wydawały się zbyt otwarte, zbyt

nagie, zbyt mało chronione, by mogły pozostać nie splądrowane. Najniższa kondygnacja pobliskiej budowli

wznosiła się najwyżej metr nad powierzchnie ulicy. Wszedłem do środka.

17

Nie ma sensu, żebym dokładnie zdawał relacje z tego, co widziałem, bo nie pamiętam wszystkich szczegółów, które byłyby ważne przy opisie. Przeznaczenia zdecydowanej większości zgromadzonych w

budynku maszyn nie potrafiłem się nawet domyśleć, wszystkie jednak musiały być wręcz nieprawdopodobnie

stare. Niektóre miały szklane okienka, ale były one ciemne i martwe. Cześć przypominała swym kształtem ludzi,

cześć znów dziwaczne zwierzęta o niezwykłych, zginających się niegdyś w wielu miejscach ciałach.

Właściwie nie miałem zamiaru mówić o mojej przygodzie z jedną z tych przypominających człowieka

maszyn, ale może to jednak okazać się dosyć istotne, a poza tym, chociaż postąpiłem z całą pewnością

nierozważnie, jak na razie nie pociągnęło to za sobą żadnych przykrych konsekwencji.

Przeszedłem przez ulice, chcąc dostać się do następnego budynku. Maszyna stała w zacienionej niszy jednego z bocznych korytarzy; myślę, że wszystkie inne maszyny są popsute, a te jedną, która nie jest (a w

każdym bądź razie nie tak bardzo, jak pozostałe), przeoczono kiedyś po prostu dlatego, że stała w ukryciu.

Przez moment odniosłem wrażenie, że to ogromnych rozmiarów człowiek, toteż skierowałem się w jej

stronę. Z bliska jednak podobieństwo znikło, natomiast uwidoczniły się liczne różnice: miała za długie ręce, jej

dłonie wyposażone były w haki i zębate chwytaki, nie miała oczu (to, co z początku wziąłem za oczy, okazało się

po prostu dwoma światełkami), a zamiast nóg miała dwa koła. Chyba właśnie to, że stała w wyprostowanej

pozycji zwróciło na nią moją uwagę. Wśród stert martwego metalu wyglądała niemal jak żywa istota. Kiedy się do

niej zbliżyłem, przemówiła do mnie.

Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek zapomniał te chwile. Było to tak, jakby nagle przemówił kamień,

a jednak, po raz pierwszy od porwania Cim, nie byłem wreszcie sam. Ton jej głosu był ostry, ale przyjazny i

choć posługiwała się tym samym językiem co ja, to niektóre wyrazy wymawiała w bardzo dziwny sposób,

którego nawet nie będę starał się teraz naśladować. Byłem tak zdumiony, że z początku nie rozumiałem, co

właściwie powiedziała. Po kilkunastu sekundach powtórzyła to raz jeszcze:

- Oczekuje na polecenia.

Dopiero za drugim razem udało mi się wykrztusić:

- Nie mam dla ciebie żadnych poleceń.

Nie odpowiedziała. Choć moim pierwszym odruchem było rzucić się do ucieczki, a drugim - schować

się gdziekolwiek, to jednak w gruncie rzeczy wcale nie byłem tak bardzo zaszokowany tym, że mogę rozmawiać

z maszyną, mimo iż taki Długi Nóż na przykład, żeby daleko nie szukać, z całą pewnością byłby tym wręcz

prerażony, o ile w ogóle by zrozumiał, rzecz jasna, co się dzieje. Po jakimś czasie, kiedy maszyna ciągle nic nie

mówiła, a znikąd nie dochodziły żadne podejrzanego odgłosy, zebrałem w sobie dosyć odwagi, by zapytać.

- Jak długo tu stoisz?

- Nie mam mechanizmu rejestrującego upływ czasu.

- Ale wiesz o tym, że czas mija?

- Wiem, że inni mają taki mechanizm.

- Gdzie mogę znaleźć coś do jedzenia?

- W wozie.

Jeden z wampirów - zwabiony, jak sądzę naszymi głosami – wleciał do budynku i teraz kluczył między

stojącymi bez ruchu urządzeniami. Obawiałem się, że może zjawić się ich więcej, ale mimo to zapytałem.

- Gdzie to jest?

- Tam.

Jedno z ramion uniosło się powoli, wskazując mi drogę. Przypuszczam, że od chwili, kiedy poruszyło się

po raz ostatni, musiały minąć setki, a kto wie, czy nie tysiące lat. Z początku zadrzało lekko, jakby jeden z

mechanizmów nie mógł obudzić się do życia, ale drzenie szybko ustało i ramie opadło z powrotem ruchem tak

płynnym, jakby zostało zmontowane nie dalej jak wczoraj.

Kierunek, jaki mi wskazała maszyna, był równoległy do korytarza. Bałem się że ominę to miejsce (o ile w

ogóle jeszcze istniało), toteż zapytałem, czy nie mogłaby mnie tam zaprowadzić.

- Tak - usłyszałem w odpowiedzi i zanim zdołałem zaprotestować chwyciła mnie w swe potężne ręce i

przeniosła na wierzch tego, co uważałem za jej głowę. Znajdowało się tam coś w rodzaju barierki, która mogła

zabezpieczyć mnie przed wypadnięciem, pod warunkiem, że pozostanę w pozycji siedzącej.

Gdyby nie linka, z pewnością zgubiłbym magiczną pałkę. W chwili, kiedy wyciągnąłem ją na górę maszyna ruszyła naprzód. Wampir uciekł nam z drogi, wrzeszcząc ze strachu. Skręciliśmy najpierw w

jeden

korytarz, potem, po przebyciu co najmniej kilometra, w drugi. Zdążyłem już stracić zupełnie orientację, bowiem

cały czas posuwaliśmy się w głąb olbrzymiej budowli. Wreszcie zatrzymaliśmy się w miejscu, które, dla mnie

przynajmniej niczym się nie różniło od jakiegokolwiek innego i zanim zdążyłem o to poprosić, zostałem łagodnie

postawiony na podłodze, tuż obok jakiegoś tajemniczego, obudowanego ze wszystkich stron urządzenia czy

przedmiotu, w którym nie mogłem się dopatrzeć ani kół, ani niczego innego, co by mogło służyć do poruszania

się. Z boku były drzwiczki, ale bez klamki. Dotknąłem ich ostrożnie, a potem spróbowałem otworzyć, wpychając

paznokcie w wąziutką szczelinę między nimi a krawędzią otworu drzwiowego, lecz moje usiłowania spełzły na

niczym.

- Powinien cię wpuścić - powiedziała maszyna zza moich pleców. Doznałem nagłego, irracjonalnego

18

uczucia, że ta tajemnicza, przypominająca kolosalnych rozmiarów skrzynie rzecz rozpoznała we mnie obcego i za

chwile o tym ogłosi. Nic takiego jednak się nie stało, natomiast maszyna sięgnęła ponad moją głowę i chwyciła za

krawędź drzwi swoją stalową dłonią. Coś trzasnęło i drzwi się otworzyły.

- Zepsułaś to - powiedziałem.

- I tak był już zepsuty, bo powinien cię od razu wpuścić.

Wszedłem do środka. „Wóz” może i był kiedyś pełen żywości, ale zdecydowana jej większość zgniła już

tak dawno, że nie pozostał choćby ślad zapachu i nawet zalegający dno szary pył bardziej przypominał kurz, niż

pozostałości czegoś do jedzenia. Po dobrych dwudziestu minutach buszowania znalazłem metalowe pudełko

pełne białych twardych kostek, sprawiających wrażenie nietkniętych zębem czasu. Polizałem jedną; miała

kwaskowy smak, jakby z domieszką czegoś słonego – zdecydowanie zbyt intensywny, ale domyśliłem się niemal

od razu, że kostki przeznaczone były do rozpuszczania w wodzie. Wsadziłem pudełko do kieszeni, po czym

wyszedłem na zewnątrz i poprosiłem maszynę, która czekała tam na mnie cierpliwie, by zaniosiła mnie na miejsce,

z którego wyruszyliśmy.

Zostawiłem ją tam, a sam wróciłem do szczeliny, w której spędziłem poprzednią noc. Wyjąłem kostki z

pudełka, nabrałem w nie wody ze strumienia i rozpuściłem jedną. Otrzymałem znakomity, niezwykle pożywny

napój, nie przypominający niczego, co kiedykolwiek zdarzyło mi się próbować. Kiedy wypilem całą porcję,

uczucie głodu minęło, jak ręką odjął. Osuszyłem starannie pudełko, zapakowałem resztę kostek i czując się trochę

niepewnie blisko dna jaskini, wdrapałem się tutaj, gdzie mam zamiar się przespać.

Dziesiąty dzień. Wraz z trzema maszynami wyszliśmy na zewnątrz. Poprosiłem je, by zatrzymały się na

noc w takim miejscu, gdzie mogłyby nas sobą osłonić od wiatru. Znajdujemy się jakieś trzy kilometry od wejścia

do jaskini; jutro z samego rana ruszymy na południe w poszukiwaniu śladów Wielkich Sań.

Rana w mym boku chyba się powoli zasklepia, chociaż ani na chwile nie daje o sobie zapomnieć, a od

czasu do czasu odzywa się naprawdę nieznośnym bólem.

Dziś rano, kiedy się obudziłem, zszedłem na dno jaskini i udałem się do miasta z mocnym postanowieniem

odnalezienia Promienistej Cim. Minąłem budynek, w którym odkryłem pierwszą maszynę – nazwałem ją

„Kołowiec” – i może dwie przecznice dalej omal nie wpadłem na jedną z istot, które porwały Cim. Z perspektywy

czasu zdarzenie to może się wydać bardziej niż zabawne, bowiem starałem się ze wszystkich sił zachować

maksymalną ostrożność, ale muszę przyznać, że wtedy akurat jakoś nie mogłem dostrzec w tym nic śmiesznego.

Wyszedł prosto na mnie zza rogu. Mając w pamięci broń, która zraniła mnie trzy dni temu, nie uciekałem –

nie wiem, co by się stało, gdybym jednak tak zrobił – tylko dla lepszego zamachu cofnąłem się krok wstecz i

cisnąłem w niego magiczną pałką. Trafiła go w lewe, mechaniczne ramie i upadła na ziemię. Rzucił się na mnie,

ale zdołałem dać nura pod jego wyciągniętymi rękami, przyciągnąć do siebie pałkę i w momencie, kiedy się do

mnie odwracał, powtórzyć rzut. Celowałem w twarz, ale znowu trafiłem w niewłaściwą stronę. Teraz miałem już

jednak pałkę pod pełną kontrolą – rzuciłem trzeci raz i tym razem trafiłem go w lewy policzek. Wystarczyło.

Pociekła cienka strużka krwi, jego lewe oko przestało nagle się poruszać, osunął się na kolana – w tej pozycji był

niewiele wyższy ode mnie – i mogłem obserwować, jak umiera ta jego cześć, która jeszcze była człowiekiem.

Przypuszczam, że więcej niż połowa jego mózgu musiała już być sztuczna, bowiem minęło sporo czasu,

zanim przestał się w ogóle poruszać. Jeszcze przez kilka minut po śmierci ciała ręce wciąż wyciągały się

drapieźnie w moim kierunku, a nawet usiłował się czołgać w moją stronę. Nie mógł już jednak chodzić – i to mnie

uratowało. Przypuszczam, że narządy równowagi były jeszcze pozostałościami jego ludzkiego ciała i kiedy

umarły, porażone błyskawicznie działającą trucizną, nie mógł już stanąć na nogi.

Przez jakiś czas czekałem, aż umrze także jego cześć mechaniczna, ale zdawała się ona być bardzo przywiązana do życia, czy czegoś tam, co ją poruszało. Unikając potężnych rąk kopałem go w głowę, ale odgłos,

przypominający głucho bicie olbrzymiego gongu niósł się po pustych ulicach tak zwielokrotnionym echem, że

szybko z tego zrezygnowałem. Zostawiłem go wreszcie, ciągle jeszcze drgającego i pełzającego ślamazarnie w

sobie tylko wiadomym kierunku. W moim kombinezonie zrobiło się nadzwyczaj ciepło i myślałem nawet, żeby

go w ogóle ściągnąć, a nie chciałem go nieść, a tym bardziej zostawić – było przecież w nim to nagrywające

urządzenie, a oprócz tego zapalniczka, golarka, nóż i parę innych rzeczy – toteż wreszcie zdecydowałem się

rozpiąć górę, zsunąć ją i zawiązać rękawy dokoła pasa. Otrzymałem w rezultacie strój nie tylko nie krepujący

moich ruchów, ale i dostosowany znakomicie do panującej w jaskini temperatury. Teraz dopiero widzę, jak

bardzo okazało się. to istotne.

Nie sądzę, żebym miał kiedykolwiek zapomnieć moją wędrówkę przez miasto. Ulice były niezwykle szerokie (choć starałem się trzymać raczej tuż przy ścianach budynków, a czasem nawet przechodziłem przez

nie na skrót), gdzieś wznoszące się w górę i rozchodzące łagodnymi łukami we wszystkie strony.

Konstruktorom miasta udało się najwidoczniej wynaleźć absolutnie niezawodny system oświetlenia, bowiem

zawieszane pod estakadami oraz u wejść i we wnętrzach budynków światła ciągle jeszcze płonęły słabym

blaskiem.

Po kilku kilometrach wędrówki dostrzegłem zmianę w wyglądzie chodnika. Z początku nie bardzo

wiedziałem, na czym ona polega. Staralem się przypomnieć sobie wygląd ulic, którymi do tej pory szedłem i

19

choć nie miałem z tym żadnego problemu – szczególnie, jeśli chodzi o miejsce mojej walki z tajemniczą istotą,

której mechaniczne części uparcie nie chciały umrzeć – to minęło sporo czasu, zanim uświadomiłem sobie, że

tutaj kamienny chodnik był znacznie ciemniejszy. Kiedy nachyliłem się i dotknąłem go, na moich palcach

pozostała wilgoć.

Biorąc pod uwagę mikroklimat, jaki panował w jaskini, wydawało się to zupełnie niemożliwe. Półka

skalna, na której spędziłem ostatnią noc była zupełnie sucha, podobnie jak dno jaskini między jej ścianami a

granicą miasta. Byłem też zupełnie pewien, że tam, gdzie walczyłem z człowiekiem-maszyną chodnik także był

suchy. Dotknąłem dłonią ścian budynków, bowiem zaczęły mi się pętać po głowie jakieś myśli o podziemnym

odpowiedniku deszczu, ale nie znalazłem na nich nawet śladu wilgoci. Sama ulica natomiast wyglądała tak, jakby

ktoś ją przed chwilą oblał wodą.

Wtedy właśnie zobaczyłem Kluy. Leżała po drugiej stronie ulicy, w kącie utworzonym przez załamujący

się tutaj fundament budynku, odcinając się wyraźnie swoim szkarłatem od ciemnej szarości chodnika i trochę

jaśniejszej metalowego szkieletu budowli. Z początku pomyślałem, że to pułapka, ale żaden szczegół otoczenia

nie zdawał się na to wskazywać – był to po prostu czerwony kwiat Kluy z kilkucentymetrową łodyżką i paroma

liśćmi, dokładnie taki sam, jaki zdarzało mi się nieraz znajdować pod śniegiem.

Podniósłszy go z ziemi przekonałem się, że jednak wcale nie jest to prawdziwy kwiat. Zrobiony był z

cieniutkich, zabarwionych na czerwono, kamiennych płatków, wyciętych najprawdopodobniej z łatwo

dostępnych stalaktytów. Liście wykonano z tego samego materiału, tyle że były leciutko karbowane i pomalowane na zielono. Za łodygę służyła uformowana procesami natury cienka, kamienna rurka, zaś pośrodku

stalaktytowych płatków błyszczał szlachetny kamień.

Spojrzawszy przed siebie dojrzałem wiele takich czerwonych, żółtych, białych i niebieskich kwiatów,

leżących to tu, to tam, jakby rozrzucił je po ulicy jakiś gwałtowny podmuch wiatru, co było jednak raczej

nieprawdopodobne, bowiem nie przetrwałyby najlżejszego nawet upadku. Zauważyłem, że im dalej się

posuwałem, tym mniejsze były między nimi odległości. Tknięty nagłym impulsem wszedłem do jednego z

budynków i przebiegłszy pośpiesznie wzdłuż szpalerów nieruchomych maszyn długimi, mrocznymi korytarzami,

dotarłem do sąsiedniej ulicy; była zupełnie sucha i nie leżał na niej nawet jeden kwiat.

Po kilkuminutowym odpoczynku (chyba niepotrzebnie biegłem, bo ból odezwał się ze zdwojoną siłą),

wróciłem z powrotem na ulice z kamiennymi kwiatami. Możliwe – a nawet bardzo prawdopodobne – że jednak

ktoś wiedział o mojej obecności w mieście. Jeżeli tak było, to raczej nie należało się łudzić, że uda mi się zwodzić

go przez dłuższy czas przeskakując z jednej ulicy na drugą. Z drugiej strony nie można było wykluczyć

ewentualności, że kwiaty nie mają ze mną nic wspólnego. Równie dobrze mogły tutaj leżeć od setek, jeżeli nie

tysięcy lat, zaś tajemnicza wilgoć wcale nie musiała być z nimi związana. Jeśli tak miało być w istocie, to na

końcu tej ulicy mogło znajdować się coś bardzo interesującego. Możliwe, że znowu odezwał się we mnie ów

niezwykły fatalizm, ale bez wahania ruszyłem przed siebie, z początku trzymając się możliwie blisko metalowych

szkieletów budowli, potem zaś idąc już samym środkiem ulicy, bowiem kwiaty leżały po obu jej stronach tak

grubą warstwą, że miałbym poważne kłopoty z poruszaniem się po niej.

Niebawem ponownie ujrzałem żywą istotę. Jedno z wysokich, poruszających się nieco chwiejnym

krokiem stworzeń, które porwały Cim, wybiegło na ulice kilkaset metrów przede mną. Dokładnie na jej środku

ustawiło coś, co przypominało wysoką laskę zakończoną czymś w rodzaju smukłych rogów, po czym umknęło z

powrotem w cień budynku, z którego wyszło.

Trzymałem już w pogotowiu magiczną pałkę Cim, ale dla pewności sprawdziłem, czy linka gdzieś się nie

zapętiła, machnąłem nią parę razy i w każdej chwili oczekując ataku, ruszyłem naprzód.

Atak nie nastąpił. Jestem pewien, że cały czas byłem obserwowany, ale nikt mnie nie napadł. Gdy

zbliżyłem się nieco do rogatej laski zobaczyłem, że była wykonana nie z gładkiego drewna, jak do tej pory

przypuszczałem, lecz z jakiegoś szarego, lekkiego metalu, pokrytego delikatnym wzorem, składającym się z figur

geometrycznych przeplatanych wizerunkami ludzkich twarzy. Domniemane rogi z bliska przypominały raczej

lekko wygięte antenki jakiegoś owada. Wydawały się być lekko chropowate, ale gdy przyjrzałem im się

dokładniej, okazało się, iż są po prostu zapisane wyrytymi w nich literkami, tak drobnymi, że niemal niemożliwymi do odczytania, ale i tak jestem pewien, że należącymi do pisma, którego nigdy w życiu nie

widziałem na oczy. Chodziło chyba o to, żebym wziął te laskę, aczkolwiek utrudniłoby mi to bardzo swobodne

posługiwanie się pałką. Po chwili namysłu zarówno pałkę, jak i zwoje uwiązanej do niej linki wziąłem w prawą

rękę, lewą zaś chwyciłem za rogatą laskę.

Doznałem uczucia, jakbym dotknął węża. Mój wzrok mówił mi, że nic się nie stało, że laska wciąż jest

sztwna i prosta, ze sterczącymi w górę antenkami, moje palce jednak czuły żywą istotę - zimną i spiętą do skoku.

Omal jej nie upuściłem i teraz jestem pewien, że gdybym tak zrobił, zostałbym natychmiast zabity. Ponieważ

jednak obok wrażenia obcowania z czymś żywym doświadczałem też uczucia, że to coś jest mi posłuszne, tak jak

są mi posłuszne moje kończyny, nie wypuściłem jej z ręki, tylko, chociaż była lekka, przewiesiłem ją sobie przez

ramie.

Ulica nagle zaroila się życiem. Stworzenia, które zabrały mi Cim – jak się później dowiedziałem, nazywają

się Min – wybiegały ze wszystkich wejść do okolicznych budynków, a nawet skakały z niższych pięter, z

20

brzękiem i łoskotem krusząc zalegające chodniki kwiaty. Poderwałem się do ucieczki, oni jednak padli przede

mną na twarz.

Widząc, że sprawy przybierają taki obrót, zatrzymałem się, oczekując, że któryś z nich przemówi. Kiedy

jednak nic takiego nie nastąpiło, będąc już przekonany, że nie grozi mi z ich strony żadne niebezpieczeństwo,

nachyliłem się i dotknąłem jednego z nich. Podnieśli się wtedy na kolana, czyniąc jakieś gesty szeroko

rozłożonymi rękoma, następnie zaś wzięli mnie delikatnie za ramie i poprowadzili pokrytą kwiatami ulicą aż do

miejsca, w którym zbiegały się wszystkie ulice miasta. Stała tam gigantycznych rozmiarów budowla, ze ścianami,

balkonami i wieżyczkami, jednym słowem tak niepodobna do reszty budynków w mieście, jak to tylko można

sobie wyobrazić. Sporo brakowało jeszcze do jej zupełnego ukończenia; materiał, który walał się dookoła,

wyglądał jakby wykradziono go z ażurowych wież.

Weszliśmy do środka przez coś, co przypominało niskie, szerokie okno. Aż do tej chwili nie byłam pewien,

czy eskortujące mnie istoty potrafią mówić, teraz jednak słyszałem dokoła mnie szmer przyciszonych rozmów.

Chociaż nie mogłem uchwycić ich sensu, to wydawało mi się, że rozpoznałem język, którym posługiwali się

Wiggikki i inne plemiona, z którymi miałem styczność. Zwróciłem się do jednego z moich niezwykle

towarzyszy i zapytałem go, dokąd mnie prowadzą.

- Przed tron, miejsce sądu.

- Do przybytku czystości - dodał drugi.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo jesteś cały i kompletny, jesteś doskonały.

- A wy nie jesteście?

Przystanął i odwrócił w moją stronę swą twarz. Dopiero wtedy dostrzegłem, że ich twarze nie były tylko

czymś po prostu koszmarnym, ale że były w stanie wyrażać pewne uczucia, aczkolwiek, jak mi się zdaje, bardziej

chyba od fragmentów żywego ciała były do tego zdolne ich mechaniczne części. Coś jakby wściekłość, ale równie

dobrze mogła to być rozpacz, wykrzywiło jego metalowo-plastykowe rysy.

- Jesteśmy tacy, jak widzisz! - odparł.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie jestem przyzwyczajony do waszego wyglądu i wydawało mi się, że w

swoim rodzaju także jesteście doskonali.

- A w twoim?

Musiał poznać po mojej minie, że nie bardzo wiem, o co mu chodzi, bowiem powtórzył:

- A gdybyśmy należeli do twojego rodzaju, jak byś wtedy nas ocenił?

- Ale nie należycie - odparłem. Zdaje się, że już wtedy częściowo domyśliłem się, kim są, bowiem nie

poruszałem więcej tego tematu. Ruszyliśmy dalej.

- Jesteś mężczyzną - ni to stwierdził, ni zapytał jeden z nich. Skinąłem głową.

- Czy wiesz może o kimś, kto nie jest?

- Porwaliście przecież kobietę, Promienistą Cim!

- Ona nie jest człowiekiem.

- Wydawało mi się, że jest.

- Zostałeś oszukany.

Podczas tej rozmowy szliśmy długim korytarzem o wielu zakrętach. Z początku mijaliśmy od czasu do czasu okna, ale niebawem znaleźliśmy się głęboko we wnętrzu budowli, toteż jedyne źródło światła stanowiły

przyczepione do ciemnych ścian lampy, takie same, jakie widziałem na ulicach.

- Teraz będzie ich dwóch - usłyszałem za moimi plecami.

Weszliśmy do dużego, niskiego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia, którego podłoga zasłana była

purpurowymi atlasami. Na biegnącym wzdłuż wszystkich czterech ścian niewielkim podwyższeniu stały ciasno,

jedno przy drugim, krzesła; wszystkie były puste – z wyjątkiem jednego, dokładnie vis-a-vis wejścia, na którym

siedział człowiek dzierzący w dłoni taką samą jak moja rogatą laskę. Cim była przykuta łańcuchem do jego

krzesła. Kiedy wstał i postąpił kilka kroków w moją stronę, zobaczyłem, że był karłem, i do tego bardzo tłustym.

Istoty, które mnie tu doprowadziły, padły przed nim na kolana. Oparłszy się na swojej lasce przyjrzał mi

się dokładnie, po czym zapytał:

- Nie widzicie, że on może umrzeć? Przecież jest ranny.

- Ale chodzi - odparł jeden z półludzi. - Pożyje, jeśli będziemy go dobrze traktować.

- Umrze - zawyrokował karzeł.

Cim posłała mi rozdzierające serce spojrzenie. Chyba rzeczywiście nie uważali jej za człowieka, bowiem

łańcuch, którym przykuto ją do krzesła, opasywał ciasno jej szyję.

- Weźcie go - polecił karzeł. - Zaopiekujcie się nim i powiedzcie mi, kiedy umrze.

Odparłem na to, że jeżeli mam gdziekolwiek iść, to muszę wziąć ze sobą Cim.

Z początku nie chciał się zgodzić, ale kiedy przekonał się, że nie mam zamiaru ustąpić, obrócił się na pięcie

i dotknął obroży Cim. Łańcuch puścił, Cim zaś przebiegła przez sale i objęła mnie swymi ramionami. Spytałem ją,

czy nic jej nie zrobili.

- Teraz nic - odparła. - Ale zabrali mi moje futra. Musimy je znaleźć, bo inaczej zamarznę. Czym cię

21

zranili?

- Nie wiem. To stało się zaraz potem, jak cię porwali.

- Chodź - powiedział jeden z moich strażników. - Zaopiekujemy się tobą. Wyzdrowiejesz.

Zapytałem, co mają zamiar zrobić.

- Zreperujemy twoje ciało. Niektóre części są uszkodzone, jedno płuco chyba do niczego już się nie nadaje.

Damy ci nowe, lepsze i trwalsze.

- I kiedy już mi wymienicie parę rzeczy, będę wyglądał dokładnie tak, jak wy. Powiedziałaś, że podziwiacie mnie, ponieważ jestem cały i kompletny?

Niesamowitą twarz wykrzywiło coś na kształt uśmiechu.

- Myślisz, że właśnie w ten sposób staliśmy się tym, czym jesteśmy. Nic podobnego.

- Słuchałam, jak rozmawiali - wtrąciła się Cim. - Zdaje się, że kiedyś było ich znacznie mniej, więc podzielili się uzupełniając brakujące fragmenty częściami z metalu.

- Interesujący pomysł. Ale to też nieprawda.

- Nic nie wiecie! - parsknął karzeł, który usadowił się z podkulonymi nogami na swoim krześle.

-Przypominacie dzieci, które przypadkiem weszły do teatru na pół minuty przed końcem spektaklu. Widzicie

poruszających się ucharakteryzowanych ludzi, słyszycie muzykę, jesteście świadkami czynności, których nie

rozumiecie i nie macie nawet pojęcia, czy to przedstawienie jest komedią, czy tragedią, ani czy ci, których

oglądacie to aktorzy, czy może publiczność.

Kiedy mówił, wszystkie istoty z wyjątkiem tej, która przed chwilą z nami rozmawiała, padły twarzami na

podłogę. Nasz niedawny rozmówca skinął na nas i wyszliśmy za nim innymi drzwiami niż te, przez które nas tu

wprowadzono. Zapytałem, czemu wszyscy oddają taką cześć temu karłowi.

- Bo jest człowiekiem - odpowiedział. - Do twojego przyjscia sądziliśmy, że już ostatnim.

- W takim razie powinniście się zainteresować, skąd przyszedłem. Skąd wiecie, że na zewnątrz nie ma

więcej ludzi? Mężczyzn, kobiet i dzieci, prawdziwych ludzi, mieszkających gdzieś daleko od was?

- Czy tak jest naprawdę?

- Nie - odparłem, czując się nagle bardzo głupio.

- Więc czemu miałyby nas to interesować? Skąd przyszedłeś, skoro nie od innych ludzi?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Kilka dni temu Wiggikki znaleźli mnie leżącego w śniegu. Wiem tylko tyle.

Usiłowałem wytłumaczyć, co czuje.

- Nic nie pamiętam, ale jednak coś musiało we mnie pozostać. Znam nazwy wielu rzeczy, których nigdy

nie widziałem. Zaczynam nagle o czymś myśleć, szukam tego, a potem uświadamiam sobie, że: przecież nigdy

nic takiego nie posiadałem, że jakieś „półki”, „szafki” czy „szuflady”, które nie wiadomo skąd pojawiają się w

mojej pamięci, w ogóle nie istnieją. Czasem myślę o innych ludziach, ale ich też nie ma.

- Nie wiesz, skąd pochodzisz - powiedział półczłowiek - ale ja ci to wyjaśnię. Gdzieś daleko stąd jest wśród

wzgórz mała dolina. Tam się urodziłeś, wśród ludzi, którzy pamiętali dawne lata i potęgę, jaka była udziałem

człowieka. Tam się wychowałeś, ale w tym czasie inni gdzieś zniknęli i w pewnej chwili ujrzałeś, że wszyscy

dookoła są od ciebie starsi, że jesteś ostatnim ze swego pokolenia. Potem oni umierali, a ty już wiedziałeś, że gdy

ich zbraknie, zostaniesz sam wśród zezwierzęconych bestii, grzebiących w ziemi w poszukiwaniu korzonków lub

chłopcujących łapczywie ciepłą jeszcze krew. Gdy wreszcie nadszedł ten dzień, twój umysł odmówił ci

posłuszeństwa i poszedłeś przed siebie, byle dalej od wygasłego ogniska i spoczywającego przy nim trupa starej

kobiety. Wkrótce znaleźli cię Wiggikki. Teraz jesteś szczęśliwy, bowiem nie dostrzegasz różnicy między sobą a

zwierzętami. My jednak wyleczymy cię i znowu będziesz sobą.

- Wiem, że nie należę ani do Wiggikki, ani do Pamigaka, ani nie jestem jednym ze współplemieńców Promienistej Cim. Jednak...

- Oni są mniej warci, niż kurz na twoich butach. Popatrz na te istotę, która stoi przy tobie. Gdybyś miał

ochotę ją zabić, mógłbyś to zrobić ot, tak, po prostu dla przyjemności.

- Wiem - odparłem. - Rzeczywiście mógłbym, ale tylko dlatego, że mam coś, co do niej należy.

Mówiąc to odwiązałem linkę i oddałem Cim jej magiczną pałkę.

- Mówiłem o prawie moralnym, nie o rzeczywistych możliwościach.

Skręciliśmy w wąski, ciemny korytarz i zeszliśmy w dół dosyć długimi schodami.

- Gdybyś ty, czy Władca, zechciał ją unicestwić, nie byłoby w tym nic złego. Czy wiesz, jak używać laski,

którą niesiesz? Najłżejsze dotknięcie rogów to śmierć.

- Jeżeli spodziewasz się, że zabije tym Cim, to czeka cię spore rozczarowanie.

- To wcale nie wygląda na miejsce, w którym mieliby cię leczyć - zauważyła Cim.

Rzeczywiście. Lampy świeciły tu tak słabo i były umieszczone tak daleko od siebie, że widziałem tylko

szarociemne plamy na ślicznej twarzy Cim i fosforyzujący poblask oczu istoty, która nas tu doprowadziła.

- Są różne sposoby leczenia - odpowiedział nasz przewodnik, - Fizyczne, umysłowe, duchowe... - Nagle

zrobił krok wstecz i usłyszałem skrzyp otwieranych, a potem błyskawicznie zamykanych drzwi.

W tej samej chwili rozbłysły jasne światła. Sądząc po rozmiarach i kształcie pomieszczenia, w którym nas

zamknięto, znajdowało się ono bezpośrednio pod salą tronową tłustego karła. Jedyne różnica polegała na tym, że

22

tutaj nie było ani podwyższenia, ani wypolerowanych krzeseł, podłoga zaś niczym nie różniła się od nawierzchni

ulic miasta.

Rozległ się przytłumiony stuk, jakby ktoś wyszarpnął zatyczkę ze skobla. Cim przycisnęła się do mnie.

- Przysyła kogoś, kto ma nas zabić - wyszeptała.

W tym momencie jedno z trojga drzwi, znajdujących się w przeciwległej ścianie, otworzyły się szeroko.

Mężczyzna, który wszedł nie był może aż tak duży, jak Nashwonk, ale i tak musiał się porządnie schylić,

by nie uderzyć głową w futrynę. Miał zmierzwioną żółtą brodę i skołtunione włosy, które sterczały we wszystkie

strony, sprawiając wrażenie, jakby jego głowa była zbyt duża, by mogły udźwignąć ją barki, chociaż i tak były co

najmniej dwukrotnie szersze od moich.

Nie to jednak zwróciło przede wszystkim moją uwagę. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłem były jego oczy:

duże i żółte jak złoto. Potem zauważyłem, jak się porusza; Cim jest śliczna i wszystkie jej ruchy pełne są

niezwykłego wdzięku, ale przy nim wygląda czasem wręcz niezdarnie.

Domyśliłem się, kto to jest, jeszcze zanim wypowiedziała jego imię.

- Ketin! - syknęła i uniósłszy swą magiczną pałkę jak do zadania ciosu cofnęła się ostrożnie pod ścianę.

- Tak, Ketin - odparł brodacz. Jego głos przypominał pomruk oddalonej o pięć kilometrów burzy. Chwycił

za zamknięcie drzwi, znajdujących się obok tych, przez które wszedł i szarpnął kilka razy; mięśnie, jakie napięły

mu się na grzbiecie, przypominały wyglądzone przez wiatr, spiętrzone skały.

Bąłem się, a jednocześnie w pewnym sensie w ogóle nie czułem strachu. To znaczy, silniej niż dotąd

odczuwałem moją fizyczną słabość i wiedziałem, że Ketin byłby dla mnie śmiertelnie groźnym przeciwnikiem,

równocześnie jednak wiedziałem, czy też może wydawało mi się, że wiedziałem, iż Cim myliła się mówiąc:

„Przysła kogoś, kto ma nas zabić”.

- Jestem pewien, że wszystkie są dobrze zamknięte - zwróciłem się do Ketina.

- Aha - powiedział i odwrócił się w moją stronę tak, jakby ważył tyle, co dyni z ogniska. - Wiec znasz to

miejsce?

- Nie, ale je rozumiem.

To go zastanowiło. Zauważyłem, że przez twarz przemknęło mu coś jakby cień wątpliwości.

- A kim jesteś? - zapytał, by w chwili potem samemu odpowiedzieć. - To ty tropisz Wielkie Sanie.

- Tropiłem je.

- Usłyszałem o tobie już przedtem, zanim mnie schwytali. Mój przyjaciel - miałem go o tak, pod ręką i

zanim go zabiłem, połachotałem trochę, żeby się dowiedzieć, co nowego słyszać – wiec mój przyjaciel wyznał

mi, że spędziłeś noc z jego ludźmi, a potem ruszyłeś w ślad za Wielkimi Saniami. Mogę zabić ciebie albo ją, tak

jak zabiłem jego, wiec jeśli mi od razu nie powiesz, jak się stąd wydostać, to będę się tak długo z tobą bawił, aż to

od ciebie wydobędę.

- Nie możesz mnie zabić, Ketin.

Ketin uśmiechnął się lekko i ruszył w naszą stronę.

- Zaczekaj chwile i posłuchaj. Wsadzono nas tutaj właśnie po to, żeby cię zabił. Oczywiście, nigdy by mi

to się nie udało w uczciwej walce, ale ta pałka, którą widzisz, ma zabójcze właściwości, których ja sam nawet nie

rozumiem. Co prawda zabiłbym cię w samoobronie, ale niebawem poczułbym się z tego powodu bardzo dumny i

zacząłbym myśleć o takich jak ty czy Cim jak o kimś gorszym ode mnie.

- Miałbyś prawo być dumny, gdyby udało ci się mnie zabić - powiedział Ketin.

- Bardziej dumny czuje się teraz, właśnie dlatego, że nie musiałem cię zabić. Wydaje mi się, że wiem, jak

moglibyśmy stąd uciec. Spójrz w górę. Sufit jest w cieniu, ale podejrzewam, że masz znacznie lepszy wzrok ode

mnie. Co widzisz?

- Belkę podtrzymującą sufit.

- Powinny tam być drzwi, kłapa otwierająca się do dołu.

- Nie widzę. - Ketin przesunął się trochę z głową zadartą do góry.

- Skąd wiesz, że powinny być? - zapytała Cim. Także patrzyła w górę.

- Muszą. To pomieszczenie znajduje się bezpośrednio pod salą tronową. Jest duże, ale bez żadnego wyposażenia; Ketina trzymano tuż obok, żeby móc wypuścić go na każdego, kto by się tutaj znalazł. Ten, kto to

wszystko obmyślił, musiał także zapewnić sobie jakiś łatwy i szybki sposób wrzucania tu swoich wrogów.

Pasowałyby to zresztą do tego nędznego pałacu – pretensjonalnego, tandetnego, najwyraźniej budowanego bez

żadnej ogólnej koncepcji, z materiałów pościąganych z lepiej zachowanych budynków. Wielka dziecinada.

- Jesteś pewien? Wiec dlaczego nas tutaj nie wrzucili?

- Mechanizm wbudowany jest zapewne w tron króla. Na jego polecenie zbudowano to wszystko, ale nie z

jego woli tu się znaleźliśmy. Poza tym wiedział, że mam łaskę i że mógłbym zabić Ketina. Bardzo był dla ciebie

okrutny?

- Czasem - odparła Cim. - Ale nie w taki sposób, jak się spodziewałem. I nie tak, jak Łowca Ryb.

- Chyba zwodzisz i mnie, i siebie - zahuczał Ketin.

Pokręciłem głową i wskazałem pałką w górę:

- Tam!

23

Ketin zbliżył się do mnie i chociaż teraz widziałem, że jest jeszcze większy, niż mi się z początku wydawało, to zupełnie już nie czułem strachu.

- Widzę - powiedział. Przykucnął, po czym skoczył w górę, chwytając za podtrzymujące sufit wzmocnienia.

- Nie zauważyłam tego - przyznała Cim. - A było prawie na samym środku, każde z nas powinno to od razu

zobaczyć.

- Tam właśnie powinno być. Karłowi chodziło o to, aby mógł wrzucać ludzi stojących przed jego tronem,

ale zauważyłem, że tacy jak ty, Ketin czy Wiggikki w zamkniętym pomieszczeniu zawsze starają się trzymać

możliwie blisko ściany. Zresztą, niekoniecznie w pomieszczeniu – nawet biegnąc śladem Wielkich Sań

posuwałeś się tuż przy krawędzi szlaku. Staracie się widzieć nie będąc widzianymi i mieć gdzieś w pobliżu ścianę,

o którą moglibyście się oprzeć w razie ataku.

- Ty natomiast zawsze wychodzisz na sam środek - odparła Cim. - Czasem bardzo się tym niepokoję. Pod

tyra względem jesteś bardziej podobny do tego karła, Mantru, niż do nas. Przez ten czas, kiedy mnie trzymał przy

sobie, nieraz zauważyłam, że on także nigdy nie staje pod ścianami.

W górze rozległ się trzask, kłapa otworzyła się i Ketin, pomimo swych rozmiarów, błyskawicznie wdrapał

się na górę. Po chwili rozległ się czyjś krzyk.

- Dasz rade tam doskoczyć? - zapytała Cim. - Wątpię, żeby Ketin po nas wrócił. Gdyby nie rana w moim

boku, nie byłoby problemu, teraz jednak, chociaż starałem się ze wszystkich sił, udało mi się jedynie chwycić

dłońmi o krawędź otworu. Usiłowałem się rozhuścić i zahaczyć na najpierw stopą, a potem wciągnąć resztę ciała,

ale nie dawałem rady. Poczulem, że rana znowu zaczęła krwawić. W tej samej chwili pojawił się Ketin i

chwyciwszy mój zawiązany w pasie kombinezon jednym ruchem poderwał mnie w górę.

Pomieszczenie było puste, tylko na podłodze nieporadnymi, konwulsyjnymi ruchami usiłowały pełzać jakieś cztery krabopodobne stworzenia. Przyjrzawszy im się dokładniej stwierdziłem, że były to resztki dwóch

Minów, rozerwanych przez Ketina na pół. W ich mechanicznych częściach ciągle jeszcze kołatała się resztką

życia. Ketin buszował teraz po całej sali, jakby spodziewał się znaleźć kogoś ukrytego za jednym z krzeseł. Kiedy

udało mi się wreszcie nabrać tchu w piersi, powiedziałem mu, że pamiętam mniej więcej drogę, jaką prowadzono

nas do pomieszczenia pod podłogą i że pójdę tam, by wyprowadzić Cim.

- Nie trzeba - powiedział do otworu. Po chwili był już z powrotem, z Cim wetkniętą pod pachą niczym

jakiś pakunek. Wyglądała na mocno przestraszona, ale ścisnęła cały czas mocno swoją pałkę i moją rogatą laskę.

- Teraz możemy iść - oznajmił Ketin.

- Musimy znaleźć futro Cim - odparłem.

- I moje. Też mi zabrali.

Właściwie dopiero teraz zwróciłem uwagę, że Ketin był prawie nagi. Jego żona, jak sobie przypominałem,

miała na sobie jakieś złachmanione futrzane okrycie.

Skręciliśmy w pierwszy z brzegu korytarz, ale nie przeszliśmy więcej niż dwadzieścia metrów, kiedy jakiś

pocisk – przypuszczam, że taki sam jak ten, który mnie zranił – przemknął między głową Ketina i moją i uderzył

z impetem w ścianę. Ketin, nie zważając na to, chciał iść do przodu, ale ostrzegłem go, że niechybnie zostaniemy

zabici.

- Nie boje się - odparł.

- To bardzo dobrze, ale ja boje się tak, że starczy za nas dwóch. Zresztą zabiją nas bez względu na to, czy

będziemy się bać, czy nie. Wracamy.

- Ale nie możemy wyjść na zewnątrz bez ubrań - zaprotestowała Cim. - To także pewna śmierć.

- Poza tym pałacem jest całe miasto, w wielkiej jaskini, w której jest zupełnie ciepło. Na pewno znajdziemy coś, w co będziecie mogli się ubrać.

Udało mi się jednak ich zawrócić i po chwili byliśmy już ponownie w sali tronowej.

Tym razem wybraliśmy schodzący w dół korytarz, którym mnie niedawno prowadzono. W pewnym momencie zacząłem się obawiać, że pomyliłem drogę, ale niebawem poczuliśmy świeże powietrze, a wkrótce

potem znaleźliśmy się wśród wznoszących się dumnie w górę szkieletów wiekowych budowli.

Minowie nie ścigali nas. Przez kilka godzin wędrowaliśmy wzdłuż szeregów znieruchomiałych

mechanizmów. Zastanawiałem się, gdzie mieszkali budowniczo wie miasta. Gdzieś w jego obrębie powinny

chyba znajdować się komfortowo wyposażone pokoje, osobne dla spożywania posiłków, osobne dla snu i być

może dla rozrywki, my jednak wciąż widzieliśmy tylko rzędy metalowych lampek. Zrozumiałem wreszcie, że

rzekome „miasto” – będę je jednak dalej tak nazywał, bo zdążyłem się już do tego przyzwyczaić – nie było

niczym innym jak tylko olbrzymim kompleksem schowanych pod ziemią magazynów, w których drogocenne

maszyny miały zapewnioną doskonałą ochronę przed wszelkimi możliwymi oddziaływaniami pogody.

Budowniczo wie, kimkolwiek byli, mieszkali na powierzchni i tam też, bardzo dawno temu, zginęli. Wóz, do

którego zaprowadziła mnie spotkana przeze mnie maszyna, musiał zawierać zapasy żywności dla wznoszących

miasto robotników, czy też raczej dla ich panów, bowiem robotnikami były z całą pewnością właśnie

maszyny.

Uświadomiłem to sobie właśnie w pobliżu miejsca, gdzie trafiłem na Kołowca. Powiedziałem Ketinowi i

Cim, by szli za mną, po czym zaprowadziłem ich do niego.

24

Stał tak, jak go zostawiłem. Być może mnie rozpoznał, bowiem jego głowa zwróciła się w naszą stronę i

przez chwile nawet wydawało mi się, że w ślepych oczach, które są tylko punkcikami światła, dostrzegłem coś w

rodzaju radości z ponownego spotkania, ale było to, rzecz jasna, tylko złudzenie. Kiedy zapytałem go czy robi to,

o co go poproszę, dotknął potężną metalową dłońią swojej brody. Poleciałem mu, by poszukał w mieście innych

działających maszyn.

Znalazł dwie. Jedna nie ma ani nóg, ani rąk, tylko długie, giętkie ciało i trzymetrowe szczeki; porusza się

jak wąż i nazwałem ją „Smok”. Druga wyposażona jest w sześć nóg – idąc podnosi je po trzy na przemian. Ma

cztery ręce, z których dwie są większe, a dwie mniejsze. Nazwałem ją „Żuk”. Razem wróciliśmy pod pałac króla.

Z jakiegoś powodu spodziewałem się zastać tam gotowych do jego obrony Minów, ale moje oczekiwania

się nie sprawdziły. Wyjaśniłem maszynom, że szukamy ciepłych ubrań, upewniając się przedtem, czy wiedzą co

to w ogóle jest ubranie, a następnie poleciłem im przystąpić do rozbiórki pałacu, którą przerwać miały dopiero

wtedy, gdy znajdą to, czego szukają.

Pozlepiana z najróżniejszych kawałków budowla zaczęła się powoli rozpadać. Sądziłem, że maszyny będą

działać niezależnie od siebie, one jednak współdziałały ze sobą, zupełnie jakby w jakiś niesłyszalny

dla nas

sposób mogły się ze sobą porozumiewać. Smok swą wielką paszczą ściągał na dół wyżej umocowane części

konstrukcji, Kołowiec odciągał je na bok, Żuk zaś przenosił najcięższe fragmenty, zależnie od potrzeby to

zwiększając, to znów zmniejszając długość swoich nóg. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu, który widziałem po

raz pierwszy od chwili wejścia do jaskini, a wraz z nimi jakiś dziwny, kwaśny zapach.

Kiedy mniej więcej dwudziesta część pałacu leżała już w gruzach pojawili się Minowie. Niektórzy byli

uzbrojeni, ale ani nie strzelali do maszyn, ani nie mierzyli w naszym kierunku. Przez dłuższą chwilę po prostu stali

obserwując postępującą szybko destrukcję, po czym jeden z nich – chyba ten sam, który zaprowadził mnie i Cim

do pomieszczenia pod salą tronową zbliżył się do nas. Kiedy pozostało mu jeszcze do przebycia jakieś pięć

metrów, zatrzymał się i położył na ziemi swą przypominającą widły broń.

- Zatrzymaj je - poprosił.

Odpowiedziałem mu, żeby sam je sobie zatrzymał, jeśli potrafi.

- My nie potrafimy. Mówiliśmy już do nich, ale one nie chcą nas słuchać. Jeśli je zaatakujemy, będą się

bronić. Czego chcecie?

- Naszych ubrań - odpowiedziała za mnie Cim. - Jak nam je dacie, będziemy mogli wyjść na zewnątrz, do

naszego świata, wy zaś zostanieie w tym grobie, który jest waszym światem.

- Dostaniecie je. Powiedźcie maszynom, żeby przerwały prace.

Cim popatrzyła na mnie, ale ja nic nie powiedziałem.

- Natychmiast. Mają natychmiast przestać.

- I wtedy, kiedy zostawią w spokoju wasze rumowisko, będziecie mogli nas zabić?

- Po co mielibyśmy was zabijać, skoro macie zamiar odejść? Moglibyście przecież zdążyć jeszcze raz je

uruchomić. Zostawię tutaj moją broń, reszta też położy swoją na ziemi.

Kazałem Ketinowi zniszczyć ją natychmiast; uczynił to, szybkim ruchem łamiąc ją o swoje kolano.

- Pójdę po wasze ubrania - powiedział Min. - Potem każecie im przestać.

Popędził, nie czekając na moją odpowiedź.

Wkrótce zjawił się z powrotem. Biegł jak maszyna, ale mimo jego błyszczących bez żadnego wyrazu oczu

odniosłem wrażenie, że tymi odmierzającymi idealnie równe susy nogami kieruje jednak człowiek. Ponownie

przystanął pięć metrów od nas i rzucił na ziemię stertę futer, zupełnie tak, jakby pobrudził sobie o nie ręce. Cim i

Ketin nie zwlekając przywdziali swoje zwykłe stroje.

- Zatrzymaj je teraz! - zażądał Min. Potrząsnąłem głową.

- Przecież obiecałeś.

Wyjaśniłem mu, że niczego nie obiecywałem. Wskazał na Cim.

- Ale ona tak powiedziała. Kiedy oddamy wam ubranie, odejdziecie; zatrzymacie maszyny i wrócicie na

zewnątrz.

- Ona jest tylko zwierzęciem - powiedziałem. - Jej słowa nie są wiążące nawet dla niej, a cóż dopiero dla

mnie.

Odwrócił się i wraz z innymi zniknął we wnętrzu pałacu.

- Masz zamiar go zupełnie zburzyć? - zapytała Cim.

Skinąłem głową.

- Nie przypuszczam, żeby Mantru ci na to pozwolił - powiedziała i miała racje. Nie minęły nawet trzy

minuty, kiedy ujrzałem karła idącego przy pomocy trzech Minów przez rumowisko. Załadowany ciężkimi

dźwigarami Kołowiec ruszył akurat prosto na niego; sądziłem, że Mantru się przestraszy, ale nie, krzyknął tylko

coś, czego w hałasie czynionym przez Żuka oraz Smoka nie dosłyszałem, i Kołowiec zatrzymał się, zrzucając

swój ciężar na ziemię. Krzyknął ponownie i Żuk zamarł w pół kroku, a głowa Smoka zawisała w bezruchu w

powietrzu. Trzymając swą rogatą laskę jak lance karzeł zbliżył się do nas.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak mam w razie czego użyć swojej, ale wyszedłem mu naprzeciw.

- Tylko my dwaj zostaliśmy - przemówił. - Nie powinieneś niszczyć mego domu.

25

- Nie trzeba było próbować mnie w nim zabić.

- Mówisz o tej bestii? To mój wezyr to zaaranżował, nie ja. Poza tym, mogłeś go łatwo zgładzić i przypuszczaliśmy, że to zrobisz.

- Co się stało, już się nie odstanie.

- Nie stało się nic takiego, czego by nie można naprawić. Odeślij swoje zwierzęta na zewnątrz. Te maszyny, które znalazłeś i moi słudzy łatwo naprawią zniszczenia, a może pewnego dnia...

Głos mu się załamał. Nie bardzo mogłem odczytać uczucie, malujące się na jego tłustej, skośnookiej twarzy. Mogła to być równie dobrze nadzieja, jak i rozpacz.

- Co pewnego dnia? - zapytałem.

- A może pewnego dnia moi słudzy znajdą wreszcie dla mnie, to znaczy dla nas, prawdziwą kobietę.

Dlatego właśnie wysyłam ich na zewnątrz, ale zwierzęta robią się coraz bardziej podobne do nas, więc od czasu do

czasu słudzy popełniają błąd, którego z całą pewnością by nie popełnili, mając możliwość porównania

wysyłanego przez mózgi tych istot promieniowania z moim.

- Nie sądzę, żebyś to właśnie chciał powiedzieć - odparłem. Nie wiem skąd o tym wiedziałem, ale byłem o

tym przekonany.

Jego tłusta, rozlazła twarz nabrała nagle ostrości.

- Zabije cię, jeśli będziesz sobie ze mnie kpił! - ostrzegł.

- Już od dawna z niczego nie kpiłem.

- Kiedyś ludzie wrócą do tego świata. Odnajdą nas tutaj, a wtedy zniszczymy te bestie, jak to już kiedyś

uczyniliśmy i wzniesiemy nowe, sięgające gwiazd miasta.

- Rozumiem - powiedziałem - ale my jednak sobie stąd pójdziemy.

Nie wiem, co mu wtedy strzeliło do głowy – w każdym bądź razie byłem zaskoczony, że zdecydował się

mnie zaatakować. Być może uczynił tak dlatego, że nie wierzyłem w spełnienie jego marzenia, wydaje mi się

jednak, iż większy wpływ na jego decyzje miało to, że rozwiązałem rękawy mego kombinezonu i założyłem na

siebie jego górną część. Zobaczył wtedy, że ubrany jestem tak, jak ludzie z Wielkich Sań i pomyślał pewnie, że

jestem jednym z tych, na których czekał i że mam zamiar go tutaj zostawić.

Cokolwiek było tego przyczyną, w każdym razie gwałtownym ruchem wysunął w moim kierunku swoją

laskę, która w tej samej chwili zaczęła błyskawicznie rosnąć, tak że jej rogata głowa zdawała się lecieć w

powietrzu niczym na skrzydłach. Zasłoniłem się moją laską, a ta niespodziewanie ożyła w moim ręku; znowu

czułem wyraźnie, że ściskam w dłoni smukłe, muskularne ciało jakiegoś zwierzęcia. Owinęła się wokół laski

karła i razem rosły coraz bardziej, bodąc się zawzięcie wygiętymi rogami.

Powiedziałem już, że laska była zimna, teraz jednak stała się jeszcze zimniejsza, bardziej od

najbardziej

zmrożonego lodu, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się dotknąć, ja jednak zdawałem sobie sprawę, że nie o

temperaturę tu chodzi, a o coś zupełnie innego; o odciąganie energii, którego efekty można porównać tylko do

przejmującego zimna.

Laska karła – być może dlatego, że była po prostu dłuższa - zaczęła się odginać do tyłu.

Spojrzałem na jego twarz i zobaczyłem, że wykrzywił ją grymas bólu. Ścisnął swą broń obiema rękami,

pot kapał mu z tłustych podbródków, laski jednak coraz bardziej przeginały się w jego stronę, ja zaś czułem, jak

coraz mniej pozostaje we mnie sił. Wydawało mi się, że moja energia życiowa szybkim strumieniem spływa po

dłoni na laskę.

Wkrótce rogate głowy były już tuż przy nim i moja odgięła się. nagle wstecz i uderzyła w niego z całych

sił. Puścił laskę, ale za późno: smukłe rogi przebity go na wylot. Gdy umierał, odczułem wielkie zadowolenie i

chwilowy przypływ niezwykłej siły, który jednak pozostawił mnie drżącego i ledwo) trzymającego się na nogach.

Nie rozmawiałem o tej walce z Cim i Ketinem, ale wieczorem, kiedy rozłożyliśmy się obozem, oni pierwsi

zaczęli o tym mówić. Okazało się, że widzieli zupełnie coś innego, niż ja. Obydwoje twierdzą zgodnie, że po

prostu on skierował swoją laskę na mnie, ja swoją na niego i po chwili on padł martwy. Nie wiem, co o tym

myśleć, chociaż nawet jeszcze w trakcie walki wydawało mi się, że toczy się ona poza obrębem otaczającego nas

świata.

Opuściliśmy miasto zaraz po śmierci karła. Min, którego nazwał swoim wezyrem przyszedł do nas i

zapytał, czy mamy zamiar zrównać z ziemią resztki pałacu. Nie miałem siły wykrztusić z siebie, choćby jednego

słowa, więc Cim odpowiedziała za mnie, że nie, nie mamy takiego zamiaru.

- To właściwie i tak nie ma już żadnego znaczenia - powiedział. - Z tego, co zostało, wybudujemy grobowiec dla Mantru.

Ketin chciał jak najprędzej wyjść na zewnątrz i przynaglał mnie, żebym wskazał mu drogę. Kiedy wreszcie

ruszyliśmy, usłyszałem za sobą chrzest i zgrzyt poruszających się maszyn. Sądziłem, że przystąpiły na nowo do

niszczenia pałacu, ale gdy się obejrzałem zobaczyłem, że idą za nami.

Przeszedłem jakoś pół kilometra, ale na nic więcej nie było już mnie stać. Kołowiec wziął mnie w swe

olbrzymie ręce i posadził na swojej głowie, tak samo jak wtedy, kiedy go znalazłem. Zmieściliby się tu jeszcze

zarówno Ketin, jak i Cim, ale byli zbyt przestraszeni, by pozwolić się posadzić.

W zadziwiająco krótkim czasie dotarliśmy do granicy miasta. W pewnej chwili zarówno budynki, jak i

26

rozjaśniające je światło zostały za nami, my zaś znaleźliśmy się na dnie jaskini. Maszyny ryczały potężnymi

głosami, wspinając się na zwalone ze stropu głazy, Ketin zaś i Cim musieli zdrowo wyciągać nogi, by za nimi

nadażyć. Niebawem weszliśmy w prowadzący na zewnątrz korytarz. Stalowe grzbiety maszyn strącały ze

sklepienia gęste niczym las stalaktyty, toteż naszej wędrowce towarzyszył wzmocniony wielokrotnym echem huk

i łoskot spadającego gruzu.

Nagle zrobiło się zupełnie zimno, a wraz z pierwszym podmuchem świeżego powietrza doleciał mnie charakterystyczny zapach śniegu. Zapiąłem dokładniej kombinezon. Minęliśmy jeszcze jeden zakręt i

przed nami

dojrzałem otwór jaskini i zaczynając się zaraz za nim białą przestrzeń. Obawiałem się, czy przypadkiem nie

wyjdziemy na zewnątrz nocą, ale okazało się, że jest to popołudnie.

Cim i Ketin chcieli jak najprędzej oddalić się od jaskini, ja jednak przekonałem ich, żeby zatrzymać się na

chwile i poczekać, aż maszyny zasypią wejście do korytarza. Tak też uczyniliśmy – czarna jama zniknęła pod

tonami skał i kamieni. Znając energie i determinacje Minów byłem pewien, że prędzej czy później i tak uda im się

wydostać na zewnątrz, ale przynajmniej przez jakiś czas nikt nie będzie narażony na spotkanie z nimi.

Gdy maszyny skończyły, słońce miało już za sobą trzy czwarte odmierzonej codziennie drogi.

Powiedziałem Cim i Ketinowi, że mam zamiar w dalszym ciągu tropić Wielkie Sanie. Starłem się, by zrozumieli,

że jest to moja własna decyzja, dotycząca wyłącznie mnie i że absolutnie nie są zobowiązani do tego, by mi

towarzyszyć. Cim odparta, że zrobi to, co ja, Ketin zaś miał inne plany, ale powiedział, że zostanie z nami do

chwili, kiedy uda mu się coś zabić, byśmy mieli jakiś zapas żywności. Pokazałem mu białe kostki, które zabrałem

z jaskini, ale nie wydaje mi się, by zrozumiał, do czego służą.

I to już wszystko, co się dzisiaj wydarzyło. (Jest to z całą pewnością najdłuższy z dni, o jakich do tej pory

opowiadałem). Nie będę tego przesłuchiwał, obawiam się bowiem, że wyczerpałem już pojemność tego

urządzenia. Dziś udało mi się chyba wreszcie zrozumieć, do czego ono służy – nie tylko zapamiętuje moje słowa,

ale również je przekazuje i wiem, że wy, na Wielkich Saniach, słyszycie mnie teraz. Kiedy jestem cicho i nie

słychać nic oprócz strzelających płomieni, delikatnego oddechu Cim i ciężkich westchnień Ketina,

wydaje mi się,

że ja was też słyszę. Nie wiem, czemu nie chcecie do mnie mówić, ale dobrze wiedzieć, że jesteście.

Jedenasty dzień. Był to zły dzień, chociaż może nie do końca. Śniło mi się – być może dlatego, że znowu

spałem na mrozie – że ponownie porwano Cim. We śnie Minowie przyszli jeszcze raz, a ich pocisk trafił mnie w

to samo miejsce, co przedtem, tym razem jednak ból był znacznie większy. Leżałem w śniegu wśród rozrzuconych, bezużytecznych polan i myślałem o tym, że wszystko zacznie się od początku i że Wielkie Sanie

jeszcze bardziej się ode mnie oddalą.

Ale to był tylko sen.

Żuk już się rano nie poruszył. Najwidoczniej zabiło go w nocy zimno. Kołowiec poradził nam, co ewentualnie mogłoby go jeszcze uratować, ale nic nie pomogło. Po raz pierwszy zobaczyłem płaczącą Cim.

Kołowiec tłumaczył jej, że Żuk nie umarł, że jeśli się go naprawi, będzie znowu działał, ale ona go nie rozumiała.

Szczerze mówiąc, ma więcej racji od niego, bo kto zjawi się tu z narzędziami, by go naprawić? Skoro zaszkodził

mu mróz jednej nocy, to co będzie po stu?

W dalszą drogę wyruszyliśmy już tylko z Kołowcem i Smokiem. Jechałem na Kołowcu, ale jego metalowy

pancerz jest tak przeraźliwie zimny, że musiałem siedzieć na warstwie gałęzi. Po kilku godzinach trafiliśmy na

śląd Wielkich Sań. Jest już przysypany śniegiem, ale wciąż jeszcze dobrze widoczny i maszyny poruszają się po

nim znacznie szybciej, niż wtedy, gdy musiały brnąć przez ogromne zaspę.

Ketin opuścił nas, mówiąc, że idzie na polowanie i że jeżeli będziemy cały czas trzymać się szlaku, to

znajdzie nas bez trudu. Wrócił wieczorem, taszcząc ciało młodej kobiety nieznanego mi gatunku. Jest

wyższa i

szczuplejsza od kogokolwiek z nas i musiała być bardzo piękna, zanim Ketin złamał jej kark. Nie chciał jeść,

mówiąc że ona jest dla nas, a że Cim i ja byliśmy już po kolacji, przytroczyliśmy ją do grzbietu Smoka. Ketin ma

odejść jutro rano.

Zanim skończę, dodam jeszcze, że rozdarcie na rękawie, które zawdzięczam wampirom, okazało się bardziej kłopotliwe, niż przypuszczałem. Zimno, które dostaje się przez dziurę, ochładza całe moje ciało.

Owinałem to miejsce resztką żagla z sań Długiego Noża, ale niewiele to pomogło. Chyba właśnie dlatego rana w

moim boku boli bardziej niż do tej pory.

Dwunasty dzień. Właściwie nie ma za bardzo o czym mówić. Cały dzień posuwaliśmy się po szlaku, ale

ten wcale nie wygląda na świeższy. Ketin odszedł z samego rana. Jestem bardzo zmęczony, ale zmusiłem się do

przejścia kilkuset metrów, żeby się trochę rozgrzać. Około południa usłyszałem Pieśń Wiggikki – z pewnością

jest to inna grupa, ale pieśń ta sama. Przypomniało mi to o polowaniu na Nashhwonka i postanowiłem sprawdzić,

czy ciągle jeszcze potrafię biegać nie zapadając się w śniegu. Niestety, nie mogę nabrać odpowiedniej szybkości.

Może kiedy wydobrzeje. Wieczorem Kołowiec nałamał gałęzi na ognisko. Cim wzięła mój nóż i wycięła kawałek

uda kobiety, którą upolował dla nas Ketin, ale ja napiłem się tylko trochę, wody z rozpuszczoną kostką z jaskini.

Cim zachwycała się moim nożem, jak to znakomicie kroi zamrożone mięso. Myśli pewnie, że jestem przygnębiony i stara się mnie podnieść na duchu, ja zaś po prostu czuje wielkie zmęczenie.

Trzynasty dzień. W przeciągu kilku godzin straciliśmy zarówno Kołowca, jak i Smoka. Pierwszy zatrzymał Łsie Kołowiec - nie mógł już nawet mówić. Smok nigdy nie potrafił, więc nie miał nam kto powiedzieć,

co mamy robić. Próbowaliśmy wszystkiego, co zastosowaliśmy wcześniej wobec Żuka, ale nic nie pomogło.

Kołowiec był dobrym przyjacielem i będzie nam go brakować. Wkrótce potem stanął także i Smok.

Wycięliśmy najlepsze kawały mięsa z grzbietu upolowanej przez Ketina kobiety i ruszyliśmy dalej na piechotę. Mięso jest dla Cim, ja bowiem chyba bym się nie zmusił, by je przełknąć.

O zmroku, kiedy zastanawialiśmy się już, czy może by się nie zatrzymać, dołączył do nas jeden z

Pamigaka: Z początku go nie poznałem, ale potem okazało się, że jest to Białe Jabłko. Gada jak najęty i domyślam

się, iż musi się cieszyć, że wreszcie udało mu się nas znaleźć, bowiem kilka ostatnich nocy spędził zupełnie sam,

a to na pewno nie należy do przyjemności.

Mówi, że sporo o nas słyszał. Zdaje się, że widzi nas masa ludzi, ale boją się zbliżyć. Plotka głosi, że idą z

nami okrutne potwory. Zapytałem Białe Jabłko, czy je widział, a on roześmiał się. i powiedział, że nie, po czym

zaczął się przechwalać, że on w takie bajki nie wierzy. Musiał minąć przysypanych śniegiem Smoka i Kołowca

nie podejrzewając nawet, co to jest. Wątpię, czy byłby w stanie wyobrazić sobie, że takie coś może się poruszać,

chyba zobaczyłby któregoś z nich w ruchu. Mówi, że chce zadać ludziom z Wielkich Sań kilka pytań.

Obydwoje już zasnęli. Białe Jabłko chrapie trochę, ale i tak słyszę doskonale, jak coś porusza się tuż za

zasięgiem rzucanego przez nasze ognisko światła. Cały czas trzymam laskę w zasięgu ręki.

Słyszę też wasze oddechy, chociaż jesteście daleko, na Wielkich Saniach i zastanawiam się, czemu

milczycie. Może to jakaś próba? Czy jeżeli ją przejdę, jeżeli zrobię to, co należy, odezwiecie się do mnie choćby

jeden, jedyny raz?

Czternasty dzień. Nie wiem, czemu ta liczba miałaby mieć dla mnie jakieś szczególne znaczenie, ale tak

właśnie jest.

Miałem okropne sny. Zabiłem jednego z Młnów zaklętą pałką Cim, oni zaś obwołali mnie czymś w rodzaju ich króla. Uderzałem tego Mina raz po raz, trucizna mieszała się z jego krwią, on jednak uparcie nie chciał

do końca umrzeć, powtarzając, że chce być moim niewolnikiem i wykonywać wszystkie moje rozkazy. Ogarnęło

mnie jakieś dziwne podniecenie i zarazem wstyd, że zabijam kogoś tylko dlatego, że chce być moim przyjacielem,

jednocześnie zaś pragnąłem, by umarł jak najprędzej, tak, by nikt się o tym nie dowiedział.

Obudziłem się zlany potem, co na trzaskającym mrozie nie należało do przyjemności, momentalnie

bowiem poczułem, jak na moim ciele tworzy się cienka skorupa lodu. Już nie zasnąłem, Kiedy się rozwidniło,

poszedłem szukać śladów istoty, którą słyszałem w nocy. Znalazłem je bez trudu w odległości nie więcej niż

piętnastu metrów od ogniska i należą do człowieka, który z niewiadomych powodów stawia kroki nierównej

długości.

Dzisiaj przeszliśmy bardzo niewielką odległość – jestem po prostu zbyt słaby. Dobrze, jeśli pokonaliśmy

dziesięć kilometrów, obawiam się jednak, że chyba mniej. Wasz ślad staje się coraz mniej widoczny, więc musicie

poruszać się znacznie szybciej od nas. Wieczorem powiedziałem Cim i Białemu Jabłku, żeby szli dalej beze mnie,

oni jednak nie chcą nawet p tym słyszeć. Wczoraj Białe Jabłko zjadł prawie cały zapas mięsa, ale dzisiaj nzbierał

sporo jadalnych roślin, toteż dorzuciłem je do mego wieczornego bulionu z kostki.

yślałeś, że śpię, a ja słyszałam wszystko, co mówiłeś. Wiem, że mówisz do tego czarnego ucha, ono

M p owtarza potem twoje słowa. Teraz śpisz, więc ja ci coś powiem, a kiedy się, obudzisz i mnie już nie

będzie, może tego posłuchasz albo ono samo odezwie się do ciebie moim głosem.

Kocham cię, ale nie mogę cię kochać jak męża, więc muszę odejść. Gdyby twoje serce biło w piersi Łowcy

Ryb, moglibyśmy mieszkać razem nad brzegiem wody.

Sądziłam, że naprawdę chce dogonić Wielkie Sanie. Kiedy wzięłeś mnie ze sobą – pamiętasz to jeszcze? –

wydawało mi się., że zależy mi na tym bardziej niż tobie. Ale wtedy myślałam, że pogoń zajmie nam nie więcej niż

jeden, dwa dni.

Teraz wiem, że mamy niewielkie szansę i widzę, że ślad robi się coraz mniej wyraźny. Wkrótce dotrzemy na

zupełnie obce dla mnie tereny, a gdy ślad za nami zniknie, nie będę mogła wrócić do rzek i jezior, które znam.

Więc odchodzę. Gdybym miała nadzieje, że poszedłbyś ze mną, pielęgnowałabym cię aż do twego

wyzdrowienia, ale ja wiem, że to niemożliwe. Nie mogę już zostać. Kocham cię i bardzo bym chciała, byśmy mogli

być na zawsze razem.

Piętnasty dzień. Cim odeszła. Z początku myślałem, że znowu ją porwano, ale na śniegu nie było żadnych

innych śladów oprócz jej. Szliśmy nimi jakieś pół kilometra. Przecinał je trop tego utykającego człowieka, który

kreci się wokół nas od jakiegoś czasu. Wzięte ze sobą magiczną pałkę.

Żegnaj, Cim.

Śniło mi się, że znowu zabiłem Mantru. Do tej pory myślałem, że moje osłabienie spowodowane jest raną

i zimnem, ale teraz wiem, że to nieprawda. Brakuje mi sił, które zabrała mi rogata laska. Mantru

używał pewnie

28

swojej od dzieciństwa i dlatego był taki mady. Ja już się chyba nie skurcze, ale też chyba nie uda mi się

wyprostować pleców i wypiąć piersi...

Jest już późno, chyba dobrze po północy. Przegadaliśmy cały wieczór, snując plany na przyszłość.
Białe

Jabłko już spał, ja zaś szeptałem do was, kiedy zjawił się Krzywa Noga. Zdumiałem się., jak wielką przyjemność

sprawił mi widok jego szczupłej, pokierszowanej twarzy – zupełnie jakbym wychował się wśród Wiggikki, a nie

spędził tam zaledwie trzy dni. Może to dlatego, że to były pierwsze dni. Czuje, się tak, jakbym wrócił do domu,

czy może raczej jakby cześć tego domu przyszła do mnie, chociaż nigdy przecież nie miałem z Krzywą Nogą zbyt

wiele do czynienia. Kiedy sięgam pamięcią wstecz, to wydaje mi się, że najważniejsi byli wtedy dla mnie

Czerwona Kluy i jej syn, Długi Nóż. Na Krzywą Nogę zwróciłem uwagę dopiero wtedy, gdy Nashhwonk omal go

nie zabił. Wtedy nazywał się jeszcze Ognisty Kogut.

Jest teraz z nami. Mówi, że ściga Wielkie Sanie już od tygodnia. Kiedy na nas trafił, wstydził się; z

początku do nas przyłączyć, ale teraz to przemógł. Chodził dokoła naszego ogniska przez dwie ostatnie noce.

Widział, jak odchodzi Cim, ale nie próbował ani jej zatrzymać, ani z nią porozmawiać. Mówi, że płakała. Mam

nadzieje, że daje sobie radę.

Krzywa Noga ma sanie. Słyszał o tym, że ja też mam, toteż zbudował swoje, żeby mnie dogonić. Są

większe od tych, które kupiłem od Długiego Noża za mięso Nashhwonka i powinny udźwignąć nas trzech nawet

przy lekkim wietrze. Wyruszamy z samego rana i żaden z nas nie wątpi, że zdołamy dogonić Wielkie Sanie w

przeciągu czterech, najwyżej pięciu dni.

Szesnasty dzień był chyba najszcześniejszym dniem mego życia. Żeglowaliśmy niemal od świtu, pędząc

szybciej od wiatru i ciągnąc sanie nie częściej niż raz na godzinę. Ponieważ szlak zawiany jest teraz sporymi

wydmami, nie jedziemy po zlodowaciałej, równej powierzchni, tylko żeglujemy po śnieżnych falach. Krzywa

Noga siedzi na rufie, naciąga żagiel i śpiewa swą łowiecką pieśń, Białe Jabłko zeskakuje, gdy trzeba trochę

popchać (choć wydaje się taki mały i tłusty, to jednak w jego ciele drzemie ogromna ilość energii), ja zaś leże

na dziobie i rozkoszuje się rolą pasażera. Brakuje mi Kołowca, ale muszę przyznać, że takie żeglowanie jest

znacznie przyjemniejsze, niż jazda na jego głowie. Od czasu do czasu rozlega się skrzypienie wiązań, wiatru zaś

niemal zupełnie się nie odczuwa. Cały czas albo przyśpieszamy, albo zwalniamy, ja zaś umilam sobie czas

zastanawiając się, jak też Krzywa Noga poradzi sobie z kolejną zaspą.

Nasz dzisiejszy obóz jest najbardziej komfortowym, jaki zdarzyło mi się widzieć od chwili opuszczenia

Wiggikki. Krzywa Noga ma ze sobą mały skórzany namiot, który wraz z Białym Jabłkiem obsypał ze wszystkich

stron śniegiem. Teraz, kiedy na środku płonie małe ognisko, jest w nim niemal za ciepło.

Zanim skończę, powinienem chyba dodać, że cały dzień zastanawiałem się co powiedzieć, gdyby ktoś

mnie zapytał, co zrobiłem ze swoją rogatą laską. Powiem prawdę – zostawiłem ją po prostu w śniegu. Zupełnie

celowo. Krzywa Noga ma swoją kuszę, więc nie będę jej już potrzebował. Była to ostatnia rzecz, jaką zabraliśmy

ze sobą z jaskini, z wyjątkiem pudełka z białymi kostkami. Zostały już tylko trzy.

Siedemnasty dzień. Najcieplejszy ze wszystkich dotąd. Krzywa Noga i Białe Jabłko twierdzą, że oni też

takiego jeszcze nie widzieli. W południe śnieg zaczął się topić. Kiedy już zaczęliśmy się obawiać, że utknijemy w

miejscu, temperatura zaczęła spadać i po jakimś czasie utworzyła się zamarznięta nawierzchnia, na której

mogliśmy osiągnąć dużą prędkość.

Rozdzieliliśmy między siebie kostki z jaskini, chociaż Białe Jabłko i Krzywa Noga mieli początkowo

pewne opory. Potem Białe Jabłko nazbierał trochę roślin, zaś Krzywa Noga upolował śnieżną małpkę, toteż w

sumie mieliśmy prawdziwą ucztę.

Później : Nie mogę spać, więc wyszedłem na zewnątrz. Jest bardzo jasno. Kiedy zobaczyłem błyszczący

śnieg, pomyślałem, że muszą świecić oba księżyce, ale to nie to. Na niebie jest coś, co przypomina słońce, tyle że

świeci od horyzontu po horyzont, srebrzystą chmurą, która przyćmiła swoim blaskiem wszystkie gwiazdy.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, co to jest: zwierciadło z rozproszonego nad nocną stroną planety

metalicznego pyłu. To niby-słońce jest odbiciem prawdziwego, którego promienie, normalnie ginące w pustce,

wracają teraz na ziemię odbite od olbrzymiego lustra.

Osiemnasty dzień. Kiedy się obudziliśmy temperatura musiała wynosić kilka stopni powyżej zera i przez

cały dzień rosła. Z początku ciągnęliśmy sanie za sobą, ale w końcu zostawiliśmy je w spokoju. Poradziłem

Krzywej Nodze, by wziął żagiel i takielunek, co też uczynił. Białe Jabłko niósł namiot. Poruszaliśmy się znacznie

wolniej, niż saniami i wydawałoby się, że powinno nas to przygnębić, ale wcale tak nie było; skoro

nasze sanie nie

mogą jechać po tym śniegu, to tym bardziej nie uda się to Wielkim Saniom, które przecież są zbyt duże, by je

ciągnąć.

Więc mimo tego, że idziemy noga za nogą, Wielkie Sanie nie oddalają się już od nas. Odnoszę wrażenie,

że najbardziej z nas wszystkich zależy na dotarciu do nich Krzywej Nodze. Powiedział mi, że odkąd został kaleką,

wydawało mu się, że kiedy nie patrzy akurat w twarze swych współplemieńców, to twarze te, zmieniają nagle

swój wyraz. Nie mógł już dłużej wśród nich zostać. Jego rana nie jest jeszcze w pełni wyleczona, ale może już

29

zupełnie dobrze chodzić, a nawet jest w stanie kawałek przebiec.

Dzisiaj cały dzień szliśmy w kierunku, z którego dobiegał nas odgłos płynącej wody. Moi towarzysze

mówią, że zdarzało się już nieraz, że śnieg się topił, ale nigdy nie odbywało się to tak gwałtownie. Wieczorem

pokazałem im srebrny obłok i starałem się wyjaśnić, co to jest. Byli przestraszeni i zdumieni, ale nie sądzę, by

wiele z tego zrozumieli.

Dziewiętnasty dzień. Jestem sam. Próbowałem rano iść z nimi, ale po kilku godzinach nie dałem rady.

Powiedziałem im, żeby szli dalej beze mnie. Białe Jabłko chciał mnie nieść, ale jestem dla niego stanowczo za

ciężki. Wraz z Krzywą Nogą zrobili z dwóch tyczek i żagla rodzaj noszy, lecz po kilku metrach okazało się

zraniona kończyzna Krzywej Nogi nie wytrzymuje dodatkowego obciążenia. Wtedy oświadczyli, że zostaną ze

mną, aż wydobrzeje.

Jedynym wyjściem, jakie mi pozostało, było udać, że boje się, iż będą chcieli mnie zabić – tak, jak to

Wiggikki czynią ze swymi chorymi. Rzeczywiście, mogli to zrobić bez żadnego problemu; nie miałem sił, by się

bronić i oni o tym dobrze wiedzieli. Udawałem, że naprawdę się tego obawiam, toteż wreszcie odeszli, chociaż co

chwila oglądali się za siebie. Czuje się teraz bardzo samotny, ale co miałem zrobić? Nie chciałem, by przeze mnie

stracili okazje dostania się na Wielkie Sanie, a nie jestem aż takim głupcem, by wierzyć w to, że kiedykolwiek

wyzdrowieje. Być może, kiedy uda im się dogonić Wielkie Sanie, powiedzą o mnie załodze. Taką mam

przynajmniej nadzieję – teraz, kiedy sam już na pewno tam nie dotrę, byłaby to najlepsza rzecz, jaka mogłaby

mnie spotkać.

Przekonałem się, że mogę iść najwyżej pięć minut, potem zaś muszę długo odpoczywać. Urządziłem małe

obozowisko, takie samo, jak kiedyś, kiedy też byłem zupełnie sam. Leże teraz na wznak i obserwuje odbite,

fałszywe słońce. Rozjaśniony niezwykłą poświatą świat wygląda bardzo dziwnie i wypełniony jest odgłosami,

wydawanymi przez topniejący śnieg. Małe, nocne zwierzątka, których istnienia do tej pory nawet nie

podejrzewałem, kręcą się niezdecydowanie po roziskrzonym śniegu. Jedno z nich przeszło kilka minut temu tuż

koło mnie – miało duże oczy, niemal ludzką twarz i przypominało niewielkiego niedźwiadka, chociaż, kiedy się

nad tym zastanowić, to nie bardzo mogę sobie przypomnieć, jak właściwie powinien wyglądać niedźwiadek.

Ślad Wielkich Sań idzie prosto na zachód, zdając się nie mieć końca, zupełnie, jakby obiegał planetę dookoła. Na wschodzie zaś, tam, skąd przyszedłem...

Widzę jakiś ruch. Początkowo pomyślałem, że to jakieś sanie, ale te nie mogłyby przecież żeglować

po

topiącym się śniegu. Cokolwiek to jest, zbliża się bardzo szybko i jest zbyt duże na sanie. Może ciepło

przywróciło do życia Kołowca... Nie, to jest jeszcze większe od niego. Przypomina poruszające się wzgórze i

widzę na nim ludzkie sylwetki.

I to mi wystarczy. Wiem już, kim jesteście. Ta mała planeta ma kształt kuli, wy zaś okrążyliście ją i oto

nadszedł koniec mówienia o wszystkim do tego małego urzędnika. Będę mógł rozmawiać z wami twarzą w

twarz. Kim jest ten wysoki człowiek? Czy mi się zdaje, czy on ma... skrzydła?...

KONIEC

30